

pasje

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

ISSN 2451-1641

1(2)/2017

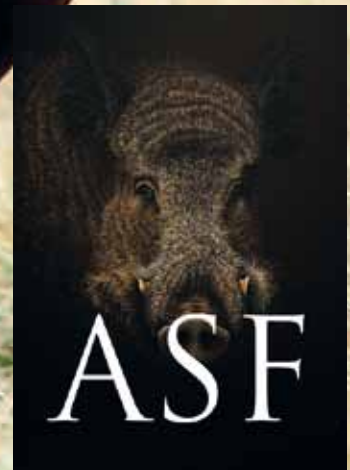
WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI



Westley Richards & Co.
spotkanie tradycji z nowoczesnością



Przyroda światłem malowana



ASF

NASZE PRODUKTY MOŻNA ZNALEŹĆ W WYBRANYCH
SKLEPACH SPECJALISTYCZNYCH ORAZ
ONLINE NA STRONIE WWW.SWAROVSKIOPTIK.COM

NOWA EL BEZGRANICZNA *DOSKONAŁOŚĆ*



Nowa rodzina EL SWAROVSKI OPTIK jest lepsza niż kiedykolwiek dotąd. Za sprawą nowego pakietu FieldPro termin „funkcjonalność” nabiera zupełnie nowego znaczenia. Doskonałe parametry optyczne i precyzja, nadzwyczajna ergonomia oraz unowocześniona konstrukcja nadają temu rewelacyjnemu urządzeniu teleoptycznemu ostateczny szlif. Gdy liczy się każda sekunda, postaw na SWAROVSKI OPTIK.

SEE THE UNSEEN
WWW.SWAROVSKIOPTIK.COM



SWAROVSKI
OPTIK

Drodzy Czytelnicy

Pragniemy poinformować, że w skład Rady Programowej naszego magazynu wszedł prof. dr hab. Tadeusz Trziszka, nowy rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

Od tego numeru znajdziecie na okładce listek z napisem: „Przeczytałeś, podaj dalej”. Zachęcamy: tak zróbcie! Niech jak najszersze kręgi ludzi niezwiązanych z łowiectwem zobaczą, kim i jacy jesteśmy. Jest nas, myśliwych, prawie 120 000 w przeszło 38-milionowym kraju.

Od 1 stycznia 2017 roku miała wejść w życie część nowelizacji ustawy Prawo łowieckie, związanej z rekompensatą szkód wyrządzanych przez zwierzynę w uprawach i płodach rolnych. Wykorzystując delegację związaną z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego w innej kwestii, związanej z rzezoną ustawą, wprowadzono nowe regulacje, dotyczące sposobu szacowania tych szkód, odchodząc od wprowadzonej w 1995 roku noweli w Prawie łowieckim. Szacowaniem i wypłatą odszkodowań za szkody łowieckie ma się zająć Państwo, a w jego imieniu wojewodowie. Zgodnie z nowelą z 1995 roku czyniły to koła łowieckie, które teraz będą zobowiązane do uiszczania odpowiednich składek, wyliczonych zgodnie ze stawkami ogłaszanych corocznie przez Ministra Środowiska, wpłacanych do specjalnie w tym celu utworzonego funduszu celowego, pozostającego w gestii wojewodów.

O jakich kwotach mówimy? Same szkody łowieckie wypłacane przez koła łowieckie w skali kraju kształtują się na poziomie 60–65 mln złotych rocznie, co znajduje swoje odbicie w około 67 000 zgłoszeń. Ocena szkód składa się co najmniej z szacowania wstępnego i końcowego. Stanowi to mniej więcej 150 000 wyjazdów w teren. Wykonywały je koła łowieckie, które posiłkowały się około 5000 osób bezpośrednio zatrudnionych przy tych czynnościach. Jeśli zajrzyśmy do danych statystycznych, dowiemy się, że 1% przeprowadzonych „starą” metodą szacowań trafiało na wokandę sądową. Około 670 szacowań rocznie w skali kraju. Sądy przyznały rację naszym adwersarzom w 23% rozpatrywanych skarg, czyli w 154 sprawach.

W czasie konsultacji nad tymi zmianami Polski Związek Łowiecki oszacował koszt obsługi procesu szacowania szkód łowieckich na poziomie 320 mln złotych. Nie dano temu wiary. Z początkiem września, gdy wojewodowie zaczęli określać swoje potrzeby finansowe w tym zakresie, przekroczyły one 250 mln złotych, a to jeszcze nie był koniec... Ministerstwo Środowiska zaczęło brać pod uwagę kwotę 400 mln złotych. Ustawodawca wstrzymał oddech i... szuka rozwiązania tej sytuacji. Co zrobić z uchwaloną przez Sejm i podpisaną przez Prezydenta ustawą? Ustawa o budżecie wprowadziła roczne *vacatio legis* dla wprowadzonych zmian w sposobie szacowania szkód łowieckich.

Sytuacja ta pokazuje wartość naszego, myśliwych, zaangażowania w gospodarowanie dobrem narodowym, jakim jest zwierzyna. Po prostu tyle, oprócz kwot zapłaconych za bezpośrednie szkody łowieckie, dokładamy do tego „interesu”, licząc nasz czas, paliwo, opony, urwane na polnych wertepach tłumiki, prace biurowo-księgowo, koszty ogólne etc. Patrząc statystycznie, stanowi to około 2660 złotych rocznie od myśliwego na rzecz dobra ogólnonarodowego. A gdzie wartość kosztów ochrony pól przed tymi szkodami? Przeprowadzona nowelizacja nie obarcza żadną odpowiedzialnością właściciela gruntu, co jest absolutnym wyjątkiem na tle rozwiązań przyjętych w innych krajach Europy. A gdzie koszty poprawy bytowania zwierzyny, wzbogacające jej środowisko? A koszty prowadzonych introdukcji zwierzyny drobnej celem ratowania jej populacji przy wstrzymywaniu pozyskaniu? Czyżby wychodziło z worka przysłowiowe szydło – kto do kogo dokłada? Kto i na czyj koszt? Kiedy w 1995 roku wprowadzono nowelizację Ustawy łowieckiej, zrzucającą te koszty na barki myśliwych, złośliwi wróżyli rychły upadek PZŁ. Tymczasem już w pierwszym roku jej obowiązywania spadły owe koszty o 60%. Co będzie w najbliższej przyszłości?

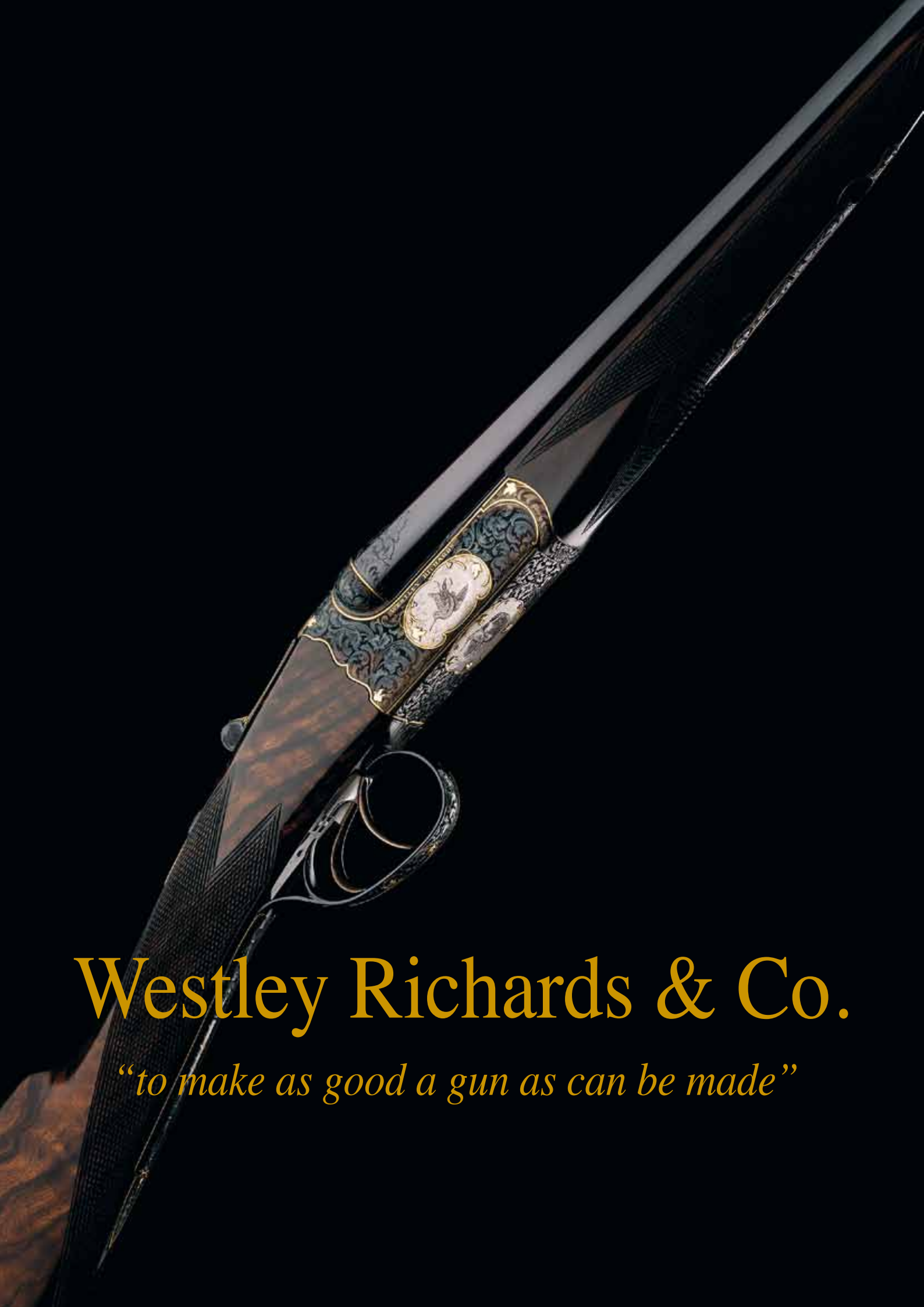


Łowczy Okręgowy
Zarządu Okręgowego PZŁ

Roman Rycombel

Prezes
Okręgowej Rady Łowieckiej PZŁ

Jacek Seniów



Westley Richards & Co.

“to make as good a gun as can be made”

Afrykański pomór świń **5**
 Kulki czy soczewki...? **9**
 Koło Łowieckie „Remiza” Wrocław **14**
 Pasje myśliwych z sułowskiej „Czapli” **18**
 Liczyć? A jeżeli tak, to jak? **21**
 Lochy na celowniku **24**
 ...o „Bażancie” z Oławy **29**
 Pastorałki w myśliwskiej oprawie **33**
 Westley Richards & Co.
 spotkanie tradycji z nowoczesnością **37**
 Wetlandy
 – tereny podmokłe
 i ich znaczenie dla przyrody i środowiska **60**
 Posokowce
 – psy do zadań specjalnych **62**
 Przyroda światłem malowana **66**
 „Czterdziestkidwójki” – lornetki uniwersalne **70**



Pasje – Wrocławski Magazyn Ekologiczno-Łowiecki

Wydawca: Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu
 ul. Wodzisławska 10b, 52-017 Wrocław
 tel.: 71 340 08 58, fax: 71 734 52 00
 e-mail: zo.wroclaw@pzlow.pl

ISSN 2451-1641
 Nakład: 1000 egz.

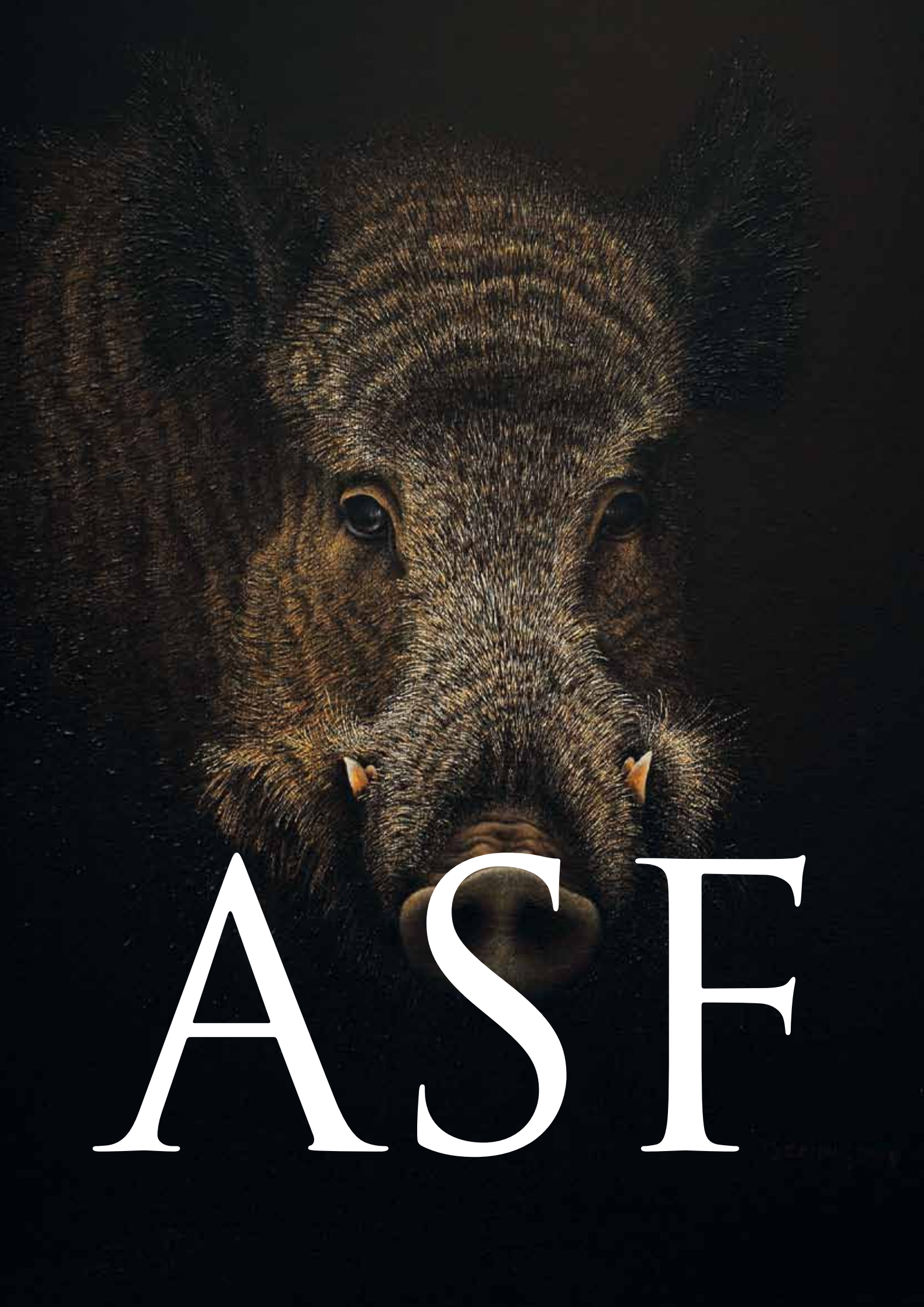
Kontakt do redakcji: pasje.pzl@gmail.com

pasje
 WROCLAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI

bpł
 ZO PZŁ WROCLAW
 BIBLIOTEKA PISM ŁOWIECKICH

Redaktor naczelny: Jacek Seniów
 Rada Programowa: prof. Roman Kołacz (Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu) – przewodniczący, prof. dr hab. Tadeusz Trziszka (rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu), prof. Józef Nicpoń (Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu), mgr inż. Adam Plaksej (dyrektor RDLP we Wrocławiu), mgr inż. Grzegorz Pieturko (nadleśniczy Nadleśnictwa Łądek-Zdrój), dr Stanisław Han (Hasco-Lek), mgr Marian Samojluk, mgr Roman Rycombel (Łowczy Okręgowy ZO PZŁ Wrocław)
 Fotografia na okładce: Piotr Śniugucki
 Opracowanie graficzne: GRART
 DTP: Tomasz Stasiak
 Druk: KEA Wrocław

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych. Redakcja ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36, p.4. Prawa prasowego) oraz interesem wydawnictwa. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość nieodpłatnego wykorzystania publikowanych materiałów na własnych stronach internetowych i stronach wydawcy. Przedruki z magazynu Pasje dozwolone są wyłącznie za uprzednią zgodą Wydawcy.



ASE

AFRYKAŃSKI POMÓR ŚWIŃ

OGROMNE ZAGROŻENIE DLA PRODUKCJI TYCH ZWIERZĄT W POLSCE

Prof. dr hab. Zygmunt Pejsak

Zakład Chorób Świń Państwowego Instytutu Weterynaryjnego

– Państwowego Instytutu Badawczego w Puławach

Od lutego 2014 roku do dziś (10 stycznia 2017) stwierdzono w naszym kraju 168 przypadków ASF u dzików i 23 ogniska tej choroby u świń. Wszystkie te zdarzenia miały miejsce na Podlasiu – w powiatach: Białystok, Hajnówka, Sokółka, Wysokie Mazowieckie, Siemiatycze w woj. lubelskim i mazowieckim. Wirus ASF stwierdzano przede wszystkim u padłych dzików znalezionych w lesie lub na polu. Niestety, 23 razy chorobę zdiagnozowano u świń domowych. Przyczyną wybuchu ognisk choroby w każdym przypadku było nieprzestrzeganie zasad bioasekuracji.

Z niepokojem obserwuje się narastające tempo szerzenia się ASF u dzików (ryc. 1), co może w krótkim czasie stać się przyczyną coraz poważniejszych problemów w populacji trzody chlewnej. Na rycinie 1 przedstawiono lokalizację przypadków i ognisk ASF w Polsce.

Niepokojący jest brak zrozumienia problemu i niedocenia zagrożenia przede wszystkim przez znaczny odsetek samych zainteresowanych, w tym głównie właścicieli małych gospodarstw przyzagrodowych, które poza dzikami de facto stanowią najbardziej prawdopodobny wektor w ewentualnym szerzeniu się ASF w Polsce.

Jakkolwiek sporo się o ASF w Polsce mówi i pisze, to nawet wśród najbardziej wydawałoby się zainteresowanych produkcją zauważa się niedostatki na temat najważniejszego w tej chwili w obszarze hodowli świń problemu i co istotne, nie docenia się ogromu strat ekonomicznych, do jakich już doprowadza rozprzestrzenianie się ASF w naszym kraju.

Głównym problemem w aspekcie ASF jest regionalnie duża – także na wschodzie kraju – populacja dzików. Dlatego jak najszybciej powinny być wdrożone intensywne działania, zmierzające do ograniczenia ich liczby. Odnosi się to szczególnie do Podlasia, ale także do 50-kilometrowego pasa wzdłuż granicy wschodniej określanej nazwą WAMTA. Przymusowo zaprzestać powinni chowu świń wszyscy ci, którzy lekceważą podstawowe zasady bioasekuracji.

Jak wskazują dane epizootyczne, dziki są w tej chwili głównym wektorem w szerzeniu się ASF nie tylko w Polsce, ale także na Litwie i Łotwie (tab. 1). Dowodem są między innymi wyniki badań laboratoryjnych. Warto dodać, że Polska jest krajem, w którym badań takich wykonano najwięcej w skali świata (tab. 2).

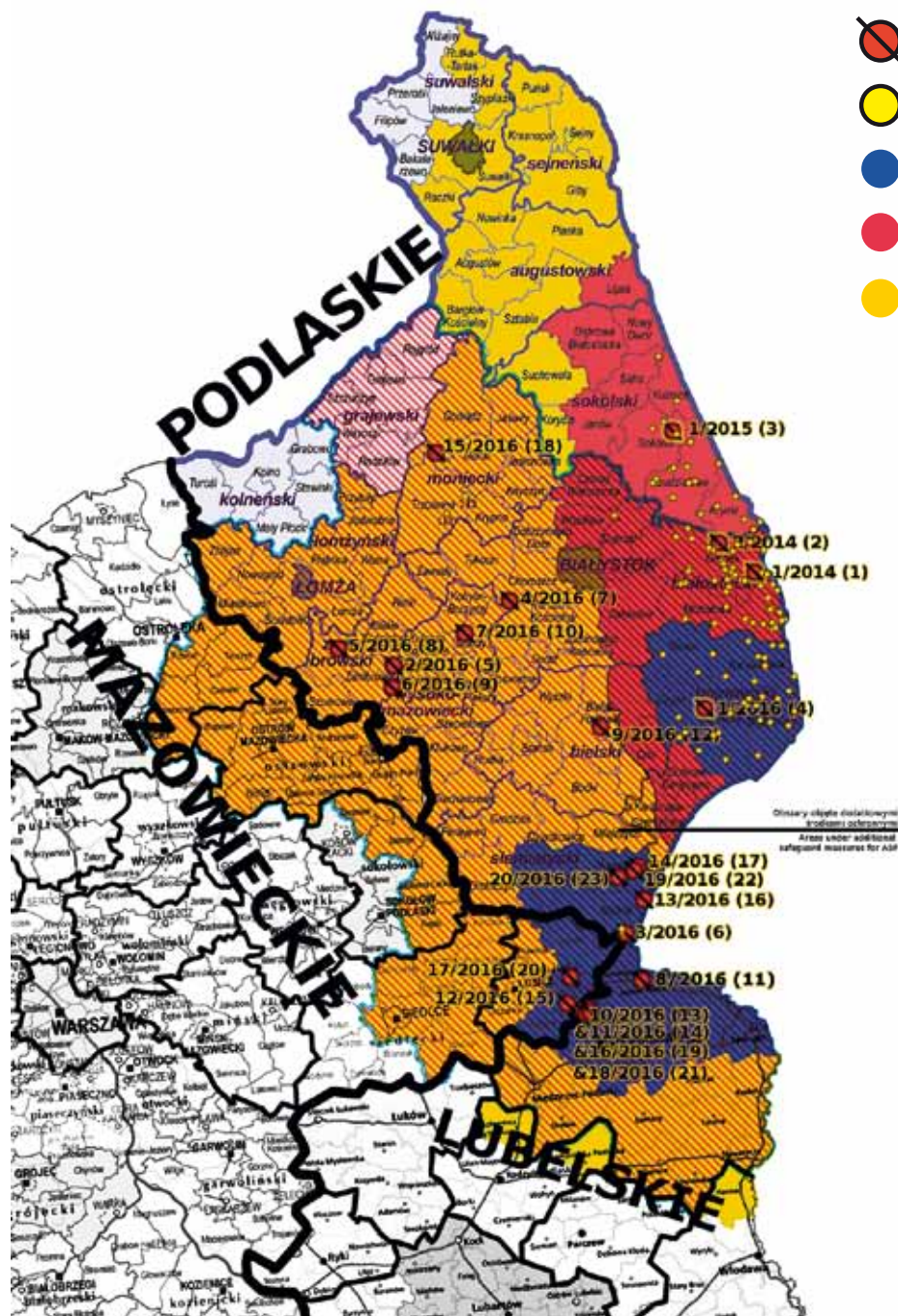
Zdając sobie sprawę z tego, że myśliwi odgrywają ważną rolę w ochronie przed rozprzestrzenianiem się ASF, poniżej przedstawiono ważne dane z zakresu występowania, patogenezы i zwalczania ASF.

Po raz pierwszy ASF został stwierdzony i opisany w 1921 roku w Kenii. Na kontynencie europejskim choroba pojawiła się pierwotnie w 1957 roku, po jej zawleczeniu z Angoli do Portugalii. Z Portugalii wirus ASF przedostał się do Hiszpanii, a następnie do innych krajów Europy. W roku 1964 choroba wystąpiła we Francji, w 1967 roku we Włoszech, w 1977 roku w byłym ZSRR, w 1978 roku na Malcie, w roku 1985 w Belgii, a w 1986 roku w Holandii. Na Półwyspie Iberyjskim ASF utrzymywał się endemicznie – w Hiszpanii do 1995 roku, a w Portugalii do roku 1999. W latach 70. i 80. ubiegłego wieku ostra postać choroby wystąpiła także w Ameryce Środkowej (na Dominikanie, Haiti i Kubie) oraz Południowej (Brazylia).

ASF nigdy nie pojawił się w Ameryce Północnej, Australii oraz w Azji.

Początek „nowej ery” w zakresie występowania ASF datuje się na czerwiec 2007 roku. OIE (Światowa Organizacja Zdrowia Zwierząt) opublikowało 6 czerwca 2007 roku raport o wystąpieniu choroby w mieście Poti na wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego na terytorium Gruzji. Pierwsze zachorowania zarejestrowano tam w kwietniu 2007 roku, lecz choroba została rozpoznana dopiero w czerwcu, po wykonaniu badań diagnostycznych w laboratorium referencyjnym w Anglii. Konsekwencją tak długiego czasu do ostatecznego rozpoznania było szybkie rozprzestrzenianie się infekcji w Gruzji, a następnie także poza jej terytorium.

Do chwili obecnej ASF szerzy się cały czas na terytorium Rosji. Dotarł do Białorusi i Polski oraz na Ukrainę, Litwę i Łotwę.



-  ognisko ASF u świń
-  przypadek ASF u dzika
-  strefa zagrożenia III*
-  strefa zagrożenia II*
-  strefa zagrożenia I*

* w rozumieniu przepisów rozporządzenia MRIRW z dnia 6 maja 2015 r. w sprawie środków podejmowanych w związku z występowaniem afrykańskiego pomoru świń

Czynnik odpowiedzialny za wystąpienie choroby

Czynnikiem etiologicznym choroby jest wirus ASF. Na podkreślenie zasługuje znaczna oporność ASFV na działanie czynników środowiskowych, np. temperatury, czy chemicznych, w tym na zmiany pH.

Spośród środków chemicznych najsilniej działa na zarazek 2% roztwór sody żrącej, działanie niszczące i dezynfekcyjne wykazują także detergenty, podchloryn sodu, aldehyd glutarowy, środki zasadowe, rozpuszczalniki lipidowe i Virkon S.

Główne źródło (naturalny rezerwuuar) wirusa dla świń stanowią padłe dziki i zwierzęta chore – świnie lub dziki. W niektórych regionach, m.in. w Hiszpanii, rezerwuarem zarazka są też kleszcze. W Polsce gatunek kleszczy odpowiedzialny za szerzenie się choroby nie występuje.

Odporność nabyta po zakażeniu ASFV jest bardzo słaba.

Na podkreślenie zasługuje, że swoiste przeciwciała pojawiają się już w 6–8 dni po zakażeniu i utrzymują się przez bardzo długi okres, ich poziom osiąga zwykle maksimum w 5–6 tygodni po zakażeniu, przy czym we krwi może znajdować się równocześnie wirus.

Patogeneza

Najczęstszą bramą wejścia zarazka do organizmu jest przewód pokarmowy, choć zakażenie może nastąpić także przez drogi oddechowe lub uszkodzoną skórę. Po wtargnięciu do organizmu, wirus drogą naczyni

Rycina 1
Stan na dzień 30.09.2016

Pierwszy przypadek ASF w Polsce, będący jednocześnie drugim wystąpieniem tej choroby w Unii Europejskiej (UE), potwierdzono 14 lutego 2014 roku.

Powodem rozwekowania wirusa ASF za wschodnią granicą Polski było przede wszystkim nieprzestrzeganie zasad bioasekuracji, w tym zwłaszcza brak bądź niewłaściwa dezynfekcja środków transportu, stosowanie zlewek kuchennych w żywieniu świń, nielegalny transport mięsa świń zakażonych, wyrzucanie padłych z powodu ASF świń do lasu lub niekontrolowane przemieszczanie się zakażonych zwierząt, zwłaszcza dzików.

krwionośnych i limfatycznych dostaje się w pierwszej kolejności do monocytów i makrofagów tkanek, do których ma szczególne powinowactwo (migdałki, węzły chłonne żuchwowe – miejsca pierwotnej replikacji patogenu), a następnie do innych narządów (węzły chłonne trzewne, szpik kostny, śledziona, płuca, wątroba, nerki) stanowiących miejsca wtórnej jego replikacji. Zarazek namnaża się intensywnie, po czym ponownie wraca do układu krwionośnego, gdzie utrzymuje się aż do śmierci zwierzęcia.

Objawy kliniczne

Okres inkubacji choroby wynosi przeciętnie 4–8 dni, ale może być krótszy lub dłuższy w zależności od stopnia zjadliwości zarazka. Rozróżnia się postać nadostrą (charakteryzującą ją nagłe padnięcia, bez objawów towarzyszących), ostrą, podostrą, przewlekłą oraz utajoną.

Objawy kliniczne i przebieg choroby zależą od tego, jakie narządy uległy uszkodzeniu. Najbardziej dramatyczne objawy kliniczne i zmiany sekcyjne towarzyszą ostremu przebiegowi infekcji. Pierwszym i jedynym objawem klinicznym choroby jest wzrost wewnętrznej ciepłoty ciała do 41–42°C. Gorączkujące dziki i świnie według obserwacji własnych mają osłabiony apetyt, a nie, jak to się często podaje w podręcznikach, „na ogół zachowany apetyt”, dużo leżą. W koń-

cowej fazie choroby gorączka spada, zauważa się objawy porażenne i zaburzenia w oddychaniu. Stan taki utrzymuje się przez 2–3 dni. Tuż przed śmiercią rejestruje się spadek wewnętrznej ciepłoty ciała poniżej normy. Wtedy pojawiają się inne objawy kliniczne (duszność, wypływ krwisty z pyska), które ulegają szybkiemu nasileniu i powodują śmierć zwierząt. Do najczęściej spotykanych objawów klinicznych, które powstają po spadku gorączki i poprzedzają śmierć zwierząt chorych, należą: sinica skóry uszu, brzucha i boków ciała, drobne, lecz liczne wybroczyny w skórze, duszność, pienisty wypływ z nosa, wypływ z worka spojówkowego, biegunka, często z domieszką krwi, wymioty oraz niedowład zadu. Wskaźnik zachorowalności i śmiertelności sięga do 100% zwierząt. Warto pamiętać, że w przypadku dzików, ze względu na wysoką gorączkę, chore zwierzęta przemieszczają się na krótkie odległości. Co ważne, siewstwo wirusa z kałem i moczem jest stosunkowo niewielkie, natomiast największe ilości ASFV – i to w kilkanaście godzin po infekcji – stwierdza się we krwi.

Rozpoznanie

Szybkie i prawidłowe rozpoznanie choroby ma zasadnicze znaczenie, jest podstawą eradykacji choroby i monitorowania sytuacji epizootycznej.

Tabela 1

Państwo	2014		2015		2016 (do 31 grudnia 2016)	
	przypadki	ogniska	przypadki	ogniska	przypadki	ogniska
Polska	31	2	53	1	161	23
Litwa	45	6	111	13	403	19
Łotwa	148	32	753	10	1022	3
Estonia	41	0	723	18	1128	6

Tabela 2

Liczba zwierząt zbadanych w okresie od 2011 do 3 sierpnia 2016 roku w ramach monitoringu sytuacji epizootycznej w zakresie afrykańskiego pomoru świń w Polsce.

Gatunek zwierząt	2011–2013		2014			2015			1.01.2016– –31.12.2016		2011–31.12.2016		
	świnie	dziki	świnie	dziki	świniodziki	świnie	dziki	świniodziki	świnie	dziki	świnie	dziki	świniodziki
Liczba zbadanych zwierząt	2124	13 063	23 629	15 881	1	15 092	13 356	6	8010	6443	126 425	57 265	7

Ogółem 183 697 zwierząt

W diagnozie, obok obrazu klinicznego oraz zmian sekcyjnych, pomocne jest dochodzenie epizootologiczne.

Do badań laboratoryjnych pobiera się próbki tkanek zwierząt żywych wykazujących objawy chorobowe, zabitych lub padłych. Szczegółowe informacje dotyczące rodzaju materiału oraz sposobu jego zapakowania i wysyłki do Krajowego Laboratorium Referencyjnego w zakresie ASF w PIWet-PIB w Puławach są podane na stronie www.piwet.pulawy.pl. Ogólnie stwierdzić można, że najlepszym materiałem do badań jest krew (pobrana na skrzep), śledziona, nerki lub węzły chłonne.

Laboratoryjne rozpoznanie choroby obejmuje:

1. Wykrywanie wirusa.

2. Wykrywanie materiału genetycznego wirusa ASF; materiał genetyczny wirusa można wykryć w migdałkach w trzy dni po zakażeniu, a w pełnej krwi (z dodatkiem środka przeciwkrzepliwego – antykoagulantu) nawet dwa dni po zakażeniu.

3. Wykrywanie obecności przeciwciał; badania serologiczne mają bardzo duże znaczenie, bowiem brak jest przeciwciał poszczepiennych. Swoiste IgG można wykrywać począwszy od 7–12 dnia po infekcji i utrzymują się one przez bardzo długi okres. Badania serologiczne mają szczególne znaczenie przy rozpoznawaniu podostrej lub przewlekłej postaci choroby oraz przy opracowywaniu i realizacji programów eradykacji i wykrywaniu nosicieli zarazka.

Zwalczanie

Dotychczas nie opracowano szczepionki przeciw ASF, stąd zwalczanie choroby odbywa się wyłącznie metodami administracyjnymi. Polegają one na wybiceniu wszystkich świń znajdujących się w zakażonym stadzie oraz ich utylizacji. Ponadto po stwierdzeniu ogniska ASF tworzony jest wokół niego okrąg zapowietrzony – o średnicy 3 km – oraz okrąg zagrożony o średnicy kolejnych 7 km. W okręgu zapowietrzonym likwidowane są wszystkie stada świń. Natomiast w okręgu zagrożonym wprowadzone zostają rygorystyczne ograniczenia w zakresie obrotu trzodą chlewną, co w konsekwencji uniemożliwia sprzedaż i wyprowadzenie świń poza strefę. W rezultacie i te świny z powodu niemożności spełnienia wymogów dobrostanu zostają zabite i poddane utylizacji.

Wszystkie koszty związane ze zwalczaniem ASF i likwidacją zwierząt ponosi budżet państwa.

Myśliwi

Dziki pierwotnie zakażają się ASFV od świń, których tkanki zawierają ASFV. Następnie zakażają się – dzik od dzika – przy raczej szybkim zakażeniu się

dzików w obrębie watahy i powolnym pomiędzy watahami. W ten sposób ASF za pośrednictwem zakażonych dzików może być i jest przenoszony przez granice do dzików innego państwa. Stwarza to obszar leśny sąsiedniego kraju powoli rozszerzający się, jeśli chodzi o populację dzików zakażonych ASFV. Z tego obszaru, jak wykazują obserwacje z terenu Polski, ASFV może przenieść się bezpośrednio lub pośrednio na świny domowe. Najważniejszym źródłem wirusa dla świń domowych oraz innych dzików są osobniki padłe z powodu zakażenia ASFV.

Myśliwi odgrywają niezwykle ważną, pozytywną rolę w zwalczaniu choroby, ale także mogą być bardzo ważnym wektorem w szerzeniu się ASF. Powinni zdawać sobie sprawę z faktu, że występowanie ASF jest ściśle skorelowane z gęstością populacji dzików. Uważa się, że tam, gdzie wskaźnik ten kształtuje się na poziomie poniżej 0,5 dzika na kilometr kwadratowy, szanse szerzenia się tej choroby są zdecydowanie mniejsze. Dlatego też niezwykle ważne jest, by populacja dzików we wszystkich obwodach łowieckich utrzymywana była na możliwie najniższym poziomie.

Myśliwi powinni także wiedzieć, że w regionie, w którym stwierdza się ASF, u prawie 50% padłych dzików wykrywa się obecność wirusa odpowiedzialnego za wystąpienie tej choroby. Z tego powodu przypadki znalezienia padłego dzika powinny być jak najszybciej zgłaszane inspekcji weterynaryjnej, która dokonuje bezpiecznej utylizacji zwłok. Choć bardzo rzadko, ale jednak, stwierdza się obecność wirusa u dzików odstrzelonych w strefach, w których choroba ta występuje.

Dziki padłe, znalezione na obszarze całego kraju, powinny być zgłaszane do badania laboratoryjnego. Uzyskiwanie wyłącznie ujemnych wyników takiego badania wskazuje, że teren wolny jest od omawianej choroby. Dowodzenie takiego statusu jest z wielu względów niezwykle ważne i korzystne. Dlatego też podjęcie, pobranie i wysłanie próbek do badań oraz bezpieczna utylizacja padłych dzików są jednym z najważniejszych elementów w programie zwalczania ASF.

Szczególnie ci, którzy polują na Podlasiu, muszą wiedzieć, że ze stref I i II upolowane dziki można wywieźć w głąb kraju pod warunkiem uprzedniego laboratoryjnego zbadania w kierunku ASF z wynikiem ujemnym. Dziki upolowane w strefie III nie mogą być wywożone poza jej obszar, mogą być wykorzystane jedynie w obrębie strefy i dopiero po ich laboratoryjnym zbadaniu.

Myśliwi, będący jednocześnie hodowcami lub producentami świń, nie powinni brać udziału w polowaniach na dziki, szczególnie na obszarach, w których wykazano występowanie tej choroby.



Kulki czy soczewki...?



Rozmowa z Piotrem Śniguckim, dyrektorem Dolnośląskiego Zespołu Parków Krajobrazowych

Zdjęcia: Piotr Śnigucki

Park krajobrazowy – co to jest?

Park krajobrazowy to jedna z ustawowych form ochrony przyrody. Najprościej można powiedzieć, że jest to jej forma wielkoobszarowa. Oczywiście jest też definicja zawarta w ustawie, która określa, że park krajobrazowy obejmuje obszar chroniony ze względu na wartości przyrodnicze, historyczne i kulturowe oraz walory krajobrazowe w celu ich zachowania i popularyzacji w warunkach zrównoważonego rozwoju. Nader często ta postać ochrony jest mylona z innymi formami, np. z rezerwatem czy nawet z parkiem narodowym. Jednak są to zupełnie inne obszary, na których obowiązują odrębne przepisy. Głównym celem utworzenia parków krajobrazowych jest zachowanie cech charakterystycznych występujących na terenie, na którym powołano tę formę ochrony.

Łowiectwo a park krajobrazowy

Zgodnie z zapisami ustawy o ochronie przyrody w parku krajobrazowym można wprowadzić pewne ograniczenia. Ustawa pozwala na zastosowanie wybranych zakazów, których jest obecnie 14. Możliwość ich stosowania na terenie parków krajobrazowych

uległa w ostatnim czasie zwiększeniu w związku z wejściem w życie tzw. Ustawy krajobrazowej, która wprowadziła pewne nowe ograniczenia w strefach ochrony, wynikające z możliwości utworzenia krajobrazów priorytetowych.

W parku krajobrazowym nie ma specjalnych ograniczeń, dotyczących prowadzenia gospodarki łowieckiej i organizowania polowań. Tak jak ustawowo parki narodowe i rezerваты są wyłączone z obwodów łowieckich i dodatkowo można wokół nich ustanawiać strefy ochronne, tak na terenie parku krajobrazowego dopuszczalne są polowania. Na ich obszarze są normalne obwody łowieckie lub ośrodki hodowli zwierzyny.

Twoja przygoda z łowiectwem a fotografia

Moja przygoda z łowiectwem datuje się od roku 1994, po rozpoczęciu pracy w Wydziale Ochrony Środowiska Dolnośląskiego Urzędu Wojewódzkiego. Początkowo zajmowałem się ochroną przyrody, a następnie objąłem stanowisko wojewódzkiego inspektora ds. leśnictwa i łowiectwa. Było to dla mnie nowe doświadczenie, bowiem dotychczas nie miałem częstego kontaktu z osobami zajmującymi się

łowiectwem. W mojej rodzinie chyba tylko brat babci, który był leśniczym, polował, ale nie miałem możliwości dzięki niemu się z tym zapoznać. Zajmując się nadzorem nad lasami niepaństwowymi i łowiectwem z ramienia wojewody dolnośląskiego, bardzo szybko doszedłem do wniosku, że aby zrozumieć te zagadnienia i ludzi, którzy poświęcają bardzo dużo czasu gospodarce łowieckiej – mówię gospodarce, bo łowiectwo to nie tylko polowanie, jak niektórzy nieznający tych zagadnień myślą, ale bardzo dużo innych działań, których finałem dopiero jest samo polowanie – powinienem sam ukończyć kurs dla nowo wstępujących do PZŁ i przejść całą drogę, konieczną dla osób, które chcą w przyszłości się tym zajmować.

Odbyłem więc staż w kole łowieckim, odpracowałem swoje w terenie i ukończyłem kurs. Dość dobrze poszedł mi egzamin, a szczególnie część strzelecka, co spodobało się starszym kolegom. Muszę zdradzić, że pomogły mi w tym cztery lata, gdy byłem zawodnikiem sekcji strzeleckiej w Klubie Śląsk, gdzie strzelałem z broni długiej. Po zdaniu egzaminu zostałem członkiem PZŁ niezrzeszonym i tak jest do dziś.

Dopiero po zdaniu egzaminu, poznaniu pracy wielu kół i ludzi, którzy zajmują się od lat gospodarką łowiecką, a z którymi miałem codzienny kontakt zawodowy, mogłem powiedzieć, że naprawdę znam te zagadnienia i mogłem zrozumieć osoby polujące. Znajomość bezpośrednia zagadnień związanych z gospodarowaniem w łowisku pomagała mi też chyba w podejmowaniu decyzji zawodowych. Szczególnie ważne to było podczas ponownego wydzierżawiania obwodów łowieckich czy rozstrzygnięciu sporów granicznych pomiędzy kołami.

Jednak okres, w którym polowałem, to tylko kilka lat. Najbardziej podobało mi się samo uczestniczenie w polowaniu zbiorowym i udział w tym rytuale oraz tradycje łowieckie. Poznałem wówczas wielu ciekawych ludzi, którzy na co dzień parają się bardzo różnymi zajęciami. Naprawdę przekrój zawodowy myśliwych jest ogromny.

Od kilku lat nie uczestniczę już w polowaniach, ale mam duży szacunek do wielu osób, które się tym zajmują i doceniam znaczenie naszego modelu prowadzenia gospodarki łowieckiej. Wiele krajów euro-



pejskich z pewnością chciałoby mieć taką gospodarkę i obwody łowieckie, jakie są w Polsce.

Bardzo szybko doszedłem do wniosku, że pośród myśliwych są osoby z ogromnym doświadczeniem i wiedzą o życiu oraz zwyczajach dzikich zwierząt. Nabywa się ją latami podczas przebywania w obwodzie, niekoniecznie polując, ale także obserwując zwierzęta, często w trudnych warunkach pogodowych. Przyszła mi, że jako przyrodnik z wykształcenia, a może i powo-

Zdjęcia przyrodnicze mogą być bardzo różne. Można fotografować rośliny, krajobrazy, pory roku, zjawiska przyrodnicze itp. Jedno jest pewne: aby to zrobić – musisz być w terenie i to o takiej porze i w miejscu, gdzie jest coś szczególnego. Aby fotografować zwykły wschód słońca czy poranne mgły, musimy bardzo wcześnie wstać, dojechać na miejsce, być bystrym obserwatorem, bo dopiero takie zdjęcia są ciekawe.



Ze sztucerką czy z aparatem?

Uważam, że jest wiele cech wspólnych pomiędzy polowaniem a fotografowaniem przyrody żywej. W obu tych dziedzinach, aby osiągnąć jakiś efekt, musisz nabyć dużego doświadczenia. Po pierwsze – spędzić wiele godzin w terenie, w bardzo różnych warunkach, o bardzo różnych porach dnia. Duże podobieństwa są nawet w stroju, w który się ubieramy. Musimy być niewidoczni dla zwierząt, staramy się zamaskować. Wkładamy stroje maskujące, często takie, które niektórym osobom wydają się dziwne. Ja np. używam w terenie, gdzie nie mam zbudowanej czatowni fotograficznej, stroju snajpera, całego zestawu maskującego z frędzlami, pozwalającego wtopić się w otoczenie, być prawie niewidocznym.

łania, byłem pełen podziwu dla tego, co doświadczeni myśliwi widzą i słyszą w łowisku. Poznałem kolegów, którzy jeżdżą do lasu nie tylko po to, aby polować, ale choćby pospacerować – po prostu być w terenie.

Wydawało mi się wcześniej, że też jestem niezłym obserwatorem z racji mojej pasji fotografowania przyrody, jednak spotkałem wielu myśliwych, od których z powodzeniem mogłem się jeszcze dużo nauczyć. Szczególnie jeśli chodzi o zachowanie w terenie, obserwowanie i wyciąganie wniosków z tego, co się dzieje w lesie. Wiele się nauczyłem, usłyszałem i zobaczyłem to, czego przeciętny spacerowicz tam nigdy nie zobaczy i nie usłyszy. Takie doświadczenie można zdobyć tylko dzięki wielogodzinemu przebywaniu w terenie, obserwacji i zdobytemu doświadczeniu.

Wszystko to bardzo pomogło mi w najważniejszej pasji, czyli fotografowaniu. Zajmuję się tym od pierwszych klas szkoły podstawowej. Tak jak każdy, którego wciągnęła ta dziedzina, robiłem różne zdjęcia, sam je wywoływałem, aż doszedłem do tego etapu, że wybrałem to, co mi się wydawało najciekawsze, ale zarazem też chyba najtrudniejsze, czyli fotografowanie przyrody, szczególnie zwierząt.

Osoby fotografujące zwierzęta budują różne ukrycia, tzw. czatownie, podobnie jest wśród myśliwych, którzy mają postawione ambony lub inne schronienia. Samo zachowanie się w terenie jest takie samo. Często siedzimy wiele godzin i czekamy na tę jedną chwilę, aby zrobić zdjęcie. Musimy być bardzo ostrożni, wchodzić do czatowni przed świtem, aby zwierzęta nas nie widziały. Takich samych zachowań muszą przestrzegać myśliwi. Ktoś, kto hałasuje, jest zbyt widoczny, nie będzie miał sukcesów ani w polowaniu, ani w fotografowaniu. Sama chwila zrobienia zdjęcia to często ułamek sekundy, podobnie jak na polowaniu. Aby zrobić ciekawe ujęcie, trzeba znać obyczaje zwierząt, często należy bardzo szybko reagować na zmieniającą się sytuację, przewidzieć, co się może wydarzyć i jak może zareagować zwierzę. Taka wiedza jest niezbędną do osiągnięcia sukcesu.

Szczególnie trudną do fotografowania grupą, nie jestem w tym zdaniu odosobniony, są ptaki. Z mojego doświadczenia wiem, że należy być cały czas czujnym, bowiem taka sama sytuacja drugi raz się nie zdarza. Często bywam w tych samych miejscach i wydawałoby się, że uda się zrobić podobne zdjęcia,

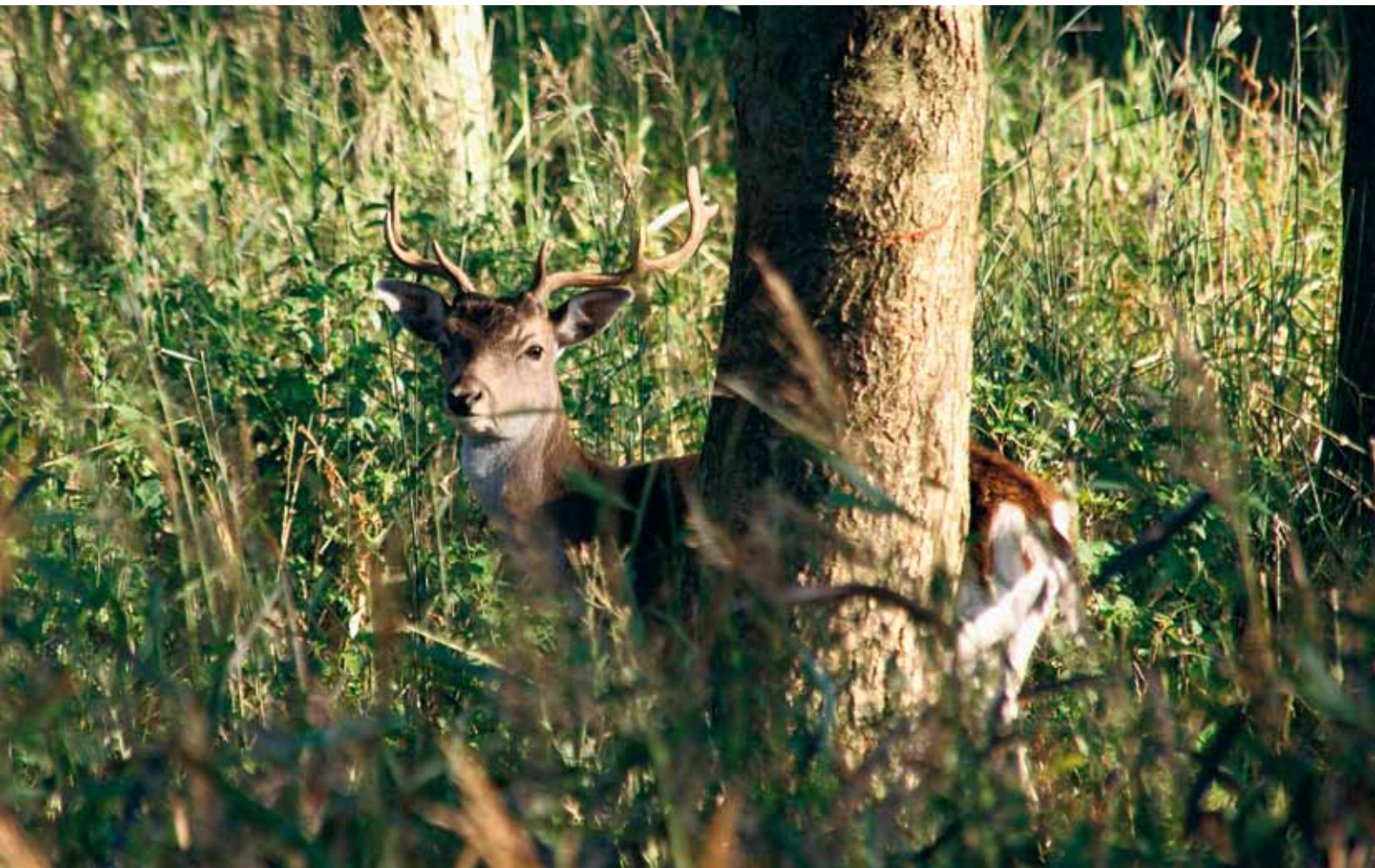
jak ostatnio. Przeważnie jest jednak inaczej. Mimo tych samych warunków, nie zawsze można sfotografować powtórnie zwierzęta. Kilkakrotnie wracałem, aby ponowić zdjęcia i nawet przez kilka lat nie przylatywały znane tu wcześniej gatunki ptaków, mimo pewności, że są w okolicy. W takich przypadkach – tu widzę też podobieństwo pomiędzy fotografowaniem zwierząt a polowaniem – fotografowie, podobnie jak myśliwi, sięgają po swoje sprawdzone sposoby, aby zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu. Wielokrotnie używam nagranych głosów różnych zwierząt. Wiele razy udało mi się przywabić ptaki i ssaki. Podobnie jest z wykładaniem pożywienia, które ściąga zwierzęta. Jednak najważniejszą sprawą jest chyba doświadczenie i cierpliwość, co można osiągnąć dopiero po wielu godzinach i dniach spędzonych w terenie, często w bardzo różnych i trudnych warunkach. Myślę, że dzięki temu, a także dzięki polowaniu, a przede wszystkim fotografowaniu, polubiłem wszystkie pory roku, bo w każdej jest coś ciekawego, szczególnego i odróżniającego ją od pozostałych. Jeśli wcześniej przeczytamy, poszperamy w literaturze, zapoznamy się z biologią poszczególnych gatunków, to później, będąc w lesie czy na polu, mamy okazję skonfrontować to z doświadczeniami innych osób o podobnych zainteresowaniach. Dotyczy to także fotografowania roślin, w przypadku których musimy poznać ich siedliska, dowiedzieć się, kiedy np. kwitną, a kiedy owocują, poszukać, gdzie można je spotkać i być tam w określonym czasie, aby je sfotografować.

Jednego jestem pewien, że aby być dobrym myśliwym, takim, który szanuje przyrodę, robi dużo dla dzikich zwierząt i ich środowiska, podobnie fotograf przyrodniczy musi lubić przyrodę, przebywanie w terenie i poświęcać tym pasjom czas, bo bez tego nie osiągnie sukcesów ani w jednej, ani w drugiej dziedzinie.

Wskazówki dla potencjalnych naśladowców?

Nie uważam się za wytrawnego fotografa, ale myślę, że udało mi się już zrobić wiele dobrych i oryginalnych zdjęć, szczególnie zwierzyny. W przypadku zwierząt łownych dużo trudniej jest podejść do nich z kamerą na odległość kilku czy kilkunastu metrów, niż polować z użyciem dostępnej już dziś dla wielu broni, która jest coraz skuteczniejsza. Może właśnie to powoduje, że fotografuję, a nie strzelam. Chciałbym jednak z mocą zaznaczyć, że żywię duży szacunek do naszego systemu prowadzenia gospodarki łowieckiej i do wielu osób, dla których polowanie jest tak jak dla mnie fotografowanie realizacją swoich pasji i zainteresowań.

Na co dzień mam jednak ciągły kontakt z łowectwem jako przedstawiciel Dolnośląskiego Urzędu Marszałkowskiego w komisji egzaminacyjnej dla kandydatów do PZŁ i wykładowca na kursie dla nowo wstępujących. Myślę też, że dzięki swojej pracy zawodowej, będąc osobą nadzorującą parki krajobrazowe Dolnego Śląska, w jakimś stopniu przyczyniam się do zachowania i ochrony tych obszarów, na których zarówno myśliwi, jak i fotografowie przyrody mogą nadal realizować swoje pasje.



REMIZA

Tekst: Jacek Seniów

Zdjęcia: Tomasz Stasiak i Koło Łowieckie „Remiza” Wrocław

Przy ówczesnej Wyższej Szkole Rolniczej zostało 55 lat temu założone koło łowieckie „Remiza”. W rocznicę tego wydarzenia mam nieczęsto zdarzającą się możliwość porozmawiania o kole jednocześnie z jego dwoma byłymi i aktualnym prezesem zarządu. Są to Tadeusz Smyk, prof. dr hab. Józef Nicpoń i Marek Rzewuski. Kolega Józef Nicpoń jest jedynym członkiem koła, który je zakładał, był wielokrotnie jego prezesem i nigdy go nie opuścił. Zawsze był głównym orędownikiem ścisłego powiązania koła z Uczelnią. Rozmowa gorąca, ożywia stare dzieje, wlewa w nie nowe lśniące kolory.

Pierwszymi założycielami koła byli pracownicy naukowcy uczelni i studium wojskowego pod wodzą prof. dra Mariana Stangenberg. Jak to pierwszymi, a mogą być kolejni założyciele? Wydawałoby się, że nie. Ale po kolei. Koło zostało zarejestrowane w Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej Psie Pole we Wrocławiu. Pierwsze lata nie przyniosły upragnionego obwodu łowieckiego umożliwiającego realną działalność koła. Działania założycieli zwróciły uwagę studentów, wśród których byli posiadający uprawnienia łowieckie myśliwi, jak Adam Poliwoda i Marek Houszka. Ci dwaj ostatni, widząc entuzjazm „do sprawy” u studenckiej braci i znając wartość wiedzy łowieckiej dla obranego kierunku studiów, z jednej

strony prowadzili szkolenia z zagadnień łowieckich, a z drugiej działalność nastawioną na uzyskanie obwodu. W 1964 roku grupa 10 studentów, w tym dwóch przyszłych prezesów koła, zdała egzaminy łowieckie i koło zyskało nowych, młodych, pełnych zapału i energii członków. A że inicjatywy oddolne są najskuteczniejsze, wiemy wszyscy.

Starania koła nabrały dynamizmu. W październiku 1965 roku udało się wydzierzawić upragniony obwód łowiecki nr 103 Dobroszyce w Nadleśnictwie Oleśnica. „Remiza” to koło studenckie, do którego weszli także pracownicy uczelni. Takie umocowanie koła pozwoliło kształtować jego specyfikę, związaną z funkcją dydaktyczną. Powiązanie studiowanych zagadnień, szczególnie tych weterynaryjnych, z łowiectwem wymusza bowiem ich znajomość praktyczną, a nie tylko teoretyczną. Dlatego przez koło przewinęło się ponad 200 członków studentów, którzy po skończeniu studiów w większości podejmowali pracę gdzieś w kraju. Wydaje się, że nie ma w Polsce drugiego koła łowieckiego o tak wielkiej fluktuacji kadr. Może na SGGW w Warszawie lub Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu? Powstała swoista, tylko tu istniejąca, instytucja „niestałego członka koła studenta”. Formalnie w zapisach statutowych nieistniejąca, natomiast będąca dżentelmeńską umową, na



Tadeusz Smyk

Marek Rzewuski

Mieczysław Łyskawa

Józef Nicpoń

mocy której członek student zobowiązywał się do opuszczenia koła w ciągu roku po ukończeniu nauki w przypadku wyjazdu z Wrocławia.

Powstawały nowe miejsca dla kolejnych pokoleń studentów myśliwych. Działalność łowiecka koła była od początku powiązana z funkcją dydaktyczną. Znajduje to odbicie zarówno w zagospodarowywaniu posiadanych obwodów, jak i w licznych publikacjach naukowych. Od 1975 roku „Remiza” dzierżawi obwód w województwie wałbrzyskim, Nadleśnictwie Zdroje, obecnie graniczący z Parkiem Narodowym Gór Stołowych. Nawiązała współpracę z kierownictwem parku, co skutkuje poprawą jakościową jelenia europejskiego. Rok 1977 to okres budowy bażantarni. Widać tu olbrzymie zaangażowanie ówczesnego łowczego koła Ryszarda Bartczaka, lekarza weterynarii. Bażantarnia nie tylko daje około 3000 bażantów zasilających łowiska Dolnego Śląska, ale jest także miejscem wielu badań naukowych. Powstają liczne prace, i to nie tylko magisterskie, które są publikowane w fachowej prasie krajowej i zagranicznej. Są to często dzieła pionierskie w naszym kraju, dotyczą żywienia bażantów, podają pierwsze polskie receptury karm produkowanych przemysłowo czy zajmują się zagadnieniami syngamozji lub sposobów prowadzenia hodowli ptaków. Prace powstają głównie pod kierunkiem prof. dra hab. Michała Mazurkiewicza i prof. dra hab. Doroty Jamroz. Koło było aktywne w prowadzonych na uczelni badaniach nad zającem i królikiem.

Uczelnia ceni sobie działania „Remizy”. Wspomaga ją dotacjami i uczelnianym autobusem. Ten pojazd był nieocenionym narzędziem we współpracy z młodzieżą szkolną. Prawie od początku swojego istnienia koło nawiązało ścisły kontakt ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego. Legendami obrosły całodziennie wizyty myśliwych, często pracowników uczelni, w placówkach szkolnych, gdzie wygłaszano poga-

danki i prezentowano filmy przyrodnicze. W tamtych „nieinternetowych czasach” każde takie odwiedziny były wydarzeniem. Autobus umożliwiał zabieranie dzieci na wycieczki do zoo i wrocławskich muzeów.

W 1984 roku „Remiza”, wspólnie z Sekcją Patologii Drobiu Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych, Katedrą Epizootiologii, Kliniką Chorób Zakaźnych oraz Katedrą Hodowli Drobiu i Drobno Inwentarza była współorganizatorem V Międzynarodowego Sympozjum Drobiarskiego. Dziś udział koła w organizowanych przez uczelnię konferencjach lub sympozjach jest rzeczą normalną. Nawet kiedy realia ekonomiczne nie pozwalają na utrzymywanie bażantarni, koło zasila swoje łowiska tymi ptakami, a od 1986 roku kaczkami, będąc i tu pionierem takich działań. Działalność koła zjednywała mu wielu sympatyków, nie tylko myśliwych, wspierających kółkowe inicjatywy. Z myślą o nich stworzono instytucję Członka Honorowego Koła. Byli lub są nimi: prof. dr hab. Ryszard Badura – rektor Akademii Rolniczej we Wrocławiu, dr Ryszard Gałęzowski – wicewojewoda wałbrzyski, Edward Kielman – przewodniczący Wojewódzkiej Rady Łowieckiej we Wrocławiu, płk mgr Edward Szałapak – kierownik Studium Wojskowego, Piotr Wieczorek – łowczy koła „Remiza” i późniejszy wieloletni łowczy koła „Piętnastka”, prof. dr hab. Zenon Wachnik – dyrektor Instytutu Chorób Zakaźnych i Inwazyjnych oraz Członek Honorowy PZŁ Wiktor Szukalski i Jerzy Górski. Ze szczególnej atmosfery znane są polowania w „Remizie”. Biorą w nich udział nie tylko myśliwi, ale także członkowie ich rodzin, towarzysząc im tak w spotkaniach po łowach, jak i na stanowiskach w kniei. Na uroczystości związane z polowaniami hubertowskimi regularnie przybywają władze uczelni w osobach kolejnych rektorów i kanclerza. Wszystko zaś odbywa się w oprawie muzyki rogów myśliwskich, jako że trzech członków koła



gra w Zespole Sygnalistów Myśliwskich „Akord Lasu”. Zapraszani liczni goście nieraz też sami muzykują i tak spontanicznie powstaje zespół towarzyszący uczestnikom łowów. W „Remizie” mówią, że polowanie bez sygnałów to jak wesele bez muzyki. Podobnie jak polowanie bez psów. W historii koła było wiele ich ras. Na początku w związku ze zwierzyną drobną były to wyżły, w tym dość rzadkie u nas wyżły weimarskie.



Towarzyszyły im często jamniki. Koniec końców serca łowców z „Remizy” podbiły wachtelhundy dzięki swej wszechstronności i od wielu sezonów to one towarzyszą im w kniei. Prowadzone są perfekcyjnie z wykorzystaniem GPS-ów przez ojca i syna, Andrzeja i Tomka Mulków. Może dlatego, że ze stanowiska ich robotę ocenia Czesław – ojciec i dziadek. GPS-y zostały sprowadzone z Kanady, bo w tamtym czasie, gdy koło dostrzegło ich przydatność, nie było jeszcze w Polsce tego sprzętu.

Mulkowie to niejedyni w kole myśliwi w kolejnym pokoleniu. To samo można powiedzieć o Józefie i Jakubie Nicponiach, Marku i Monice Rzewuskich, Mieczysławie i Dominiku Łyskawa, Bogdanie i Hubercie Wójcikach czy Kazimierzu, Zbyszku, Hubercie i Pawle Kolbuszach. Kolejne pokolenia – synowie, córki i wnukowie – przejmują pałeczkę od swoich poprzedników.

Nagroda przechodnia „za najdziwniejsze zdarzenie”, której pomysłodawcą był Piotr Wieczorek, przyznawana na zakończenie sezonu, to jeszcze jeden atrakcyjny element wspólnych działań członków „Remizy”. Wielu z nich bierze aktywny udział w działalności związku, wchodząc w skład różnych jego ciał i organów. A zaczęło się na śmietnikach terenowych, jak wspomina Marek Rzewuski, główny

inicjator i dobry duch działań strzeleckich w kole. To celowanie do butelek ujawniło chęć strzelania sportowego i tak na przełomie lat 70. i 80. przyszedł czas na kontakty z ludźmi trenującymi na strzelnicy WKS Śląsk. Początkowo byli tam gośćmi, ale szybko się zorganizowali i zostali stałymi bywalcami, wspieranymi życzliwością zarządu koła. W 1986 roku zorganizowali I Zawody o Puchar Rektora Akademii Rol-



niczej, a następnie o Puchar Prezesa Koła. Ponieważ startują także na wielu strzelnicach w Polsce, więc i na ich spotkania przyjeżdżają zawodnicy z całego kraju. Strzelania te stają się imprezami ogólnopolskimi. W tym roku odbyły się już po raz 31. Sukces Zawodów o Puchar Rektora zachęcał do pokuszenia się o organizację centralnych i tak zorganizowano we Wrocławiu Puchar Jesieni, zaliczany do punktacji wawrzynowej, oraz wiosenne „Bałwanki”, które były inicjatywą Andrzeja Jaźwińskiego, zrealizowaną dzięki zapałowi strzelców z „Remizy”. „Bałwanki” jako pierwsze zawody strzeleckie rozgrywane w Polsce, zawsze w danym roku kalendarzowym przeprowadzano we Wrocławiu już w marcu. W naszym mieście organizowano Mistrzostwa Polski. Nasz zespół stał na bardzo wysokim poziomie. W 1991 roku, startując w składzie: Jerzy Plamieniak, Jerzy Prask i Marek Rzewuski, zdobył mistrzostwo Polski, a Marek został indywidualnym mistrzem kraju, do tej pory jedynym w naszym okręgu. W latach 1989 i 1993 drużyna koła w składzie: Mieczysław Łyskawa, Marek Rzewuski i Tadeusz Smyk zajęła trzecie miejsce na okręgowych zawodach strzeleckich kół łowieckich we Wrocławiu. W 1991 roku zostali pierwszą, a w 1992 drugą drużyną. Na kolejnych zawodach o Mistrzostwo Polski zajęli odpowiednio 9 i 10 miejsca na 49 startujących

drużyn. W latach 90. wprowadzono wewnętrzny coroczny sprawdzian strzelecki dla członków koła. Po latach stanie się to normą krajową.

Edukację w „Remizie” zawsze stawiano wysoko. Nim przyszedł adept łowiectwa został dopuszczony do zaliczenia stażu łowieckiego, musiał zdać egzamin wewnętrzny przed komisją. Po latach członkowie koła zdający inne egzaminy z zakresu łowiectwa kwitują je krótko: „Po wewnętrznym były jak bułka z masłem”.



W 2000 roku Marek Rzewuski został wiceprezesem Okręgowej Rady Łowieckiej i jest jednym z inicjatorów wielu zmian, jakie zachodzą we Wrocławiu. Związek wykupił swoją siedzibę przy ulicy Kielbaśniczej. Remontuje budynek na strzelnicy, adaptując go na siedzibę okręgu. Tak więc zaczęliśmy bezpośrednio, a nie na odległość, zarządzać częścią obiektu, która

należy do związku. Widać to po zmianach, jakie tu zachodzą i wzbudzają zazdrość w innych okręgach. Jest to też trwałym naszym umocowaniem w mieście. Wiele w tym zasługi koncepcji Marka i jego działań, a wszystko z pasji do strzelectwa sportowego.

Wspomnijmy tu postać płk. Władysława Becka, który w początkach „Remizy” na strzelnicy nią zarządzał. Słynął z wielu celnych powiedzeń wygłaszanych ze wschodnią melodyjnością. Jeśli wydawał polecenie, a jego adresat niezbyt śpiesznie je wykonywał, to słyszał: „Nie śpiesz się tak, bo nogę złamiesz”.

Członkowie koła wchodzi w skład komisji problemowych przy Zarządzie Głównym Polskiego Związku Łowieckiego: Marek Rzewuski Komisji Strzeleckiej, Jan Gawęcki Komisji Szkoleniowej (szefował jej na szczeblu okręgowym w latach 2000–2005). Obecnie prowadzi ją Mieczysław Łyskawa, który jest członkiem Okręgowej Rady Łowieckiej.

Przypomnę jeszcze Andrzeja Szeremeta, który w tym kole zaczynał swoją życiową przygodę z łowiectwem. W 1967 roku założył bardzo nowoczesnie, jak na tamte czasy, prowadzoną kronikę koła, która istnieje do dnia dzisiejszego. Obecnie opiekuje się nią Rainer Pietrasik. Andrzej jest od dziesiątków lat propagatorem i nauczycielem sportowego strzelectwa myśliwskiego, stając się w tej dziedzinie prawdziwym guru, a także innych zagadnień łowieckich oraz kynologicznych. Swoją wiedzę dzieli się praktycznie i teoretycznie w licznych publikacjach.

Po latach aktywność „Remizy” nie spada, zarówno we własnych łowiskach, jak i na polu współpracy dydaktycznej z uczelnią oraz działalności w organach związku.

Dziękując za rozmowę, gratuluję osiągnięć i żeglarskim obyczajem, a są w kole też „wilki wodne”, życząc „tak trzymać!”.





Pasje myśliwych

Pierwsza struktura łowiecka w powiecie milickim – Koło Łowieckie „Czapla” w Sułowie – powstała 12 lutego 1946 roku. Wtedy była to spółka łowiecka, co wskazuje na rodowód prawny z II Rzeczypospolitej. Spółka przekształciła się 4 listopada 1949 roku w Koło Łowieckie nr 3, które dzierżawiło jeden obwód, który w 1957 roku został przeznaczony na obwód hodowlany w gestii Administracji Lasów Państwowych. Wraz z utratą obwodu koło rozpadło się, a jego członkowie przeszli do innych kół łowieckich, już wtedy działających w powiecie milickim. Tyle że zadziergnięte więzi nie rozluźniły się i 20 stycznia 1962 roku byli członkowie Koła Łowieckiego nr 3 reaktywowali działalność pod nazwą „Czapla” z siedzibą w Sułowie, przejmując wszystkie tradycje „trójki”. Od 1964 roku mieli już własne obwody łowieckie.

Godna pozazdrosczenia jest wytrwałość i konsekwencja w dążeniu do celu – zabrali się za to pionierzy tych ziem, wysiedleńcy ze wschodnich terenów II Rzeczypospolitej. Ludzie twardzi, przez los zahartowani, rozmiłowani w naturze i od dziecka z nią związani, a bakcyłem łowów nasiąknięci. To, co uderza w rozmowach z członkami koła, to barwne wspomnienia jego założycieli, wciąż żywe, o tamtych niespokojnych czasach, kiedy „różni” włóczyli się po lasach i nie tylko. Nie kryją tego, iż jednym z argumentów przemawiających za założeniem koła była możliwość legalnego posiadania broni w domu. Wtedy o telefonie najczęściej można było tylko pomarzyć, o Internecie i komórce nikomu się nie śniło, a za drzwiami bywało czarno i głucho.

Dziś koło gospodaruje na jednym niedużym obwodzie o powierzchni niespełna 3000 ha. Efekty ich pracy hodowlanej to przywrócenie bażanta, który 15–20 lat temu był tutaj sporadycznie spotykany, i kapitalna zwierzyna trofeowa, jaką można spotkać w ich łowiskach. Obecnie działalnością koła pod wodzą Arkadiusza Korola kierują: Waldemar Demski jako łowczy, Eugeniusz Szpejer nadzorujący finanse i Andrzej Łysoń. Nie sposób tu nie wspomnieć o kontynuacjach rodzinnych. Jeden z założycieli, Jan Demski, był ojcem Waldemara Demskiego i dziadkiem Arkadiusza Korola.

Sportowe strzelectwo myśliwskie towarzyszyło członkom koła od zawsze. Reprezentowali okręg wrocławski w mistrzostwach Polski klasy powszechnej i mistrzowskiej, w Lidze Strzeleckiej i jej finale. Zaowocowało to zdobytymi klasami mistrzowskimi

z sułowskiej „Czapli”

Tekst i zdjęcia: Jacek Seniów





i wawrzynami strzeleckimi. W czasie zawodów jest do zdobycia 11 nagród: 10 dla najlepszych zawodników i ta jedna dla najłabszego. Bardzo sympatyczny pomysł. Ale wygląda na to, że jednak największą pasją stało się łucznictwo. Grupa jego entuzjastów w kole ciągle rośnie. Na terenie gospodarstwa agroturystycznego, należącego do łowczego koła Waldemara Demskiego, powstała strzelnica łucznicza, wyposażona w pierwszego, i jak do tej pory jedyne w Polsce, dzika w przebiegu. Zostało zarejestrowane Integracyjne Stowarzyszenie Łucznicze „Wigwam” w Miłosławicach, któremu przewodzi Kolega Ireneusz Cieślak, ubiegłoroczny indywidualny i drużynowy wicemistrz Polski w strzelaniu ze sportowego łuku bloczkowego. On i Arkadiusz Korol są członkami Polskiego Stowarzyszenia Myślistwa Łuczniczego.

Wieloletnia współpraca ze Szkołami Podstawowymi w Dunkowie i Sułowie oraz Gimnazjum w Sułowie, połączona z łuczniczą pasją myśliwych z „Czapli”, zaowocowała cyklem wspaniałych imprez integracyjnych sułowskiego społeczeństwa i nie tylko sułowskiego. Tak powstały słynne już łucznicze pikniki odbywające się dwa razy do roku – wiosną i jesienią. Duszą ich jest wspomniany łowczy koła Waldemar Demski, który z godnym podziwu zaangażowaniem i ciepłem przekazuje dzieciom i młodzieży arkana

posługiwania się łukiem. Kieruje ich pierwszymi krokami i zachęca do dalszego wysiłku. Trudno odmówić mu talentu pedagogicznego i pasji. Sygnałami granymi na myśliwskim rogu okrasza ich sukcesy.

Dzieciom oprócz szkolnych opiekunów towarzyszą bliscy, bardzo przejęci ich współzawodnictwem i postępami. Spontanicznie przynoszą domowe wypieki i inne przysmaki. Wiadomo – piknik u myśliwych znajdzie swój koniec przy pieczonym dziku w pobliskim „Wigwamie”, ale w międzyczasie miło jest pokrzepić się domową słodkością i zakończyć pieczonego dzika domowym deserem. Tu wszyscy, miejscowi i ci, którzy przyjechali nawet z innych województw, czują się jak w jednej wielkiej rodzinie. Powszeczna serdeczność, ciepło i śmiech to cechy tych spotkań i to jest chyba największym sukcesem koła. Sukcesem zrodzonym z pasji do łowiectwa, łucznicztwa i... po prostu szacunku do drugiego człowieka.

W tym roku myśliwi z sułowskiej „Czapli” obchodzili hucznie jubileusz 70-lecia, skupieni wokół swojego sztandaru. Jakie mają marzenia? Widzą wiele jeszcze do zrobienia, ale gdyby tak w związku z optymalizacją granic obwodów udało się sfinalizować porozumienie z Nadleśnictwem Żmigród, w wyniku którego obwód koła zyskałby troszkę hektarów polnego terenu! Terenu, na którym, kontynuując dobre doświadczenia z bażantami, mogliby zająć się introdukcją kuropatwy i zająca. Gdyby, miast jeździć do pobliskich Czech, Słowacji lub na Węgry, można było i u nas w Polsce zapolować z łukiem. Patrząc na pojawiającą się coraz częściej konieczność odstrzału redukcyjnego dzików w mieście, trudno nie rozważyć łuku jako alternatywnego narzędzia, bezpiecznego w warunkach miejskich. Oby bogowie, od których to zależy, z życzliwością ich wysłuchali.





A jeżeli tak, to jak?

Tekst: mgr inż. Adam Dziubacki
Zdjęcia: Andrzej Szczucki, Fotolia

Na wstępie chciałbym uprzedzić Czytelników, że poniższy tekst nie ma na celu dokonania przeglądu licznych metod szacowania liczebności zwierzyny, a tym bardziej oceny ich przydatności. Nie pozwala na to objętość artykułu, a ponadto informacje takie możemy znaleźć szczegółowo omówione w wielu wydawnictwach, które ukazały się w ostatnich latach.

Myśliwi i leśnicy od lat powszechnie wyrażają wątpliwości, czy coroczne określanie liczebności zwierzyny jest potrzebne. Mam oczywiście świadomość, że jest konieczne z przyczyn formalnych. Liczba osobników poszczególnych gatunków, ustalona na dzień 10 marca, jest elementem rocznego planu łowieckiego, który to dokument stanowi usankcjonowaną prawem podstawę do prowadzenia gospodarki łowieckiej w obwodzie. Obowiązek zatem istnieje. Natomiast, moim zdaniem, nie ma pewności, kto go winien realizować.

Przyjęło się w praktyce, chociaż żaden przepis prawa nie mówi o tym wprost, że stany zwierzyny określa dzierżawca (lub zarządca) obwodu łowieckiego – on bowiem sporządza wspomniany wyżej plan i przedkłada go do zatwierdzenia. Z drugiej jednak strony prawo łowieckie stanowi, że zwierzyna w stanie wolnym stanowi własność Skarbu Państwa. Może to zatem jego reprezentanci powinni wziąć odpowiedzialność za oszacowanie zasobów? Wydaje się to logiczne. To jednak margines zagadnienia.

Pytania „czy liczyć?” – nie zadają sobie na ogół gremia naukowe. Ich przedstawiciele zakładają – z akademickiego punktu widzenia jest to całkowicie zrozumiałe – że aby skutecznie zarządzać populacjami poszczególnych gatunków, najpierw trzeba je dokładnie poznać i opisać. Ponadto, trzeba to przyznać, ośrodki naukowe w swoich licznych opracowaniach, dotyczących różnych metod szacowania liczebności

zwierzyny i jej zagęszczenia na konkretnych jednostkach powierzchni, bazują na materiałach przygotowanych dużym nakładem pracy, a czasem i pieniędzy, przez koła łowieckie i nadleśnictwa. Określanie liczebności (świadomie staram się unikać tu terminu inwentaryzacja zwierzyny, bowiem termin ten w naszym języku wskazuje, że podane wielkości są precyzyjne) – w zależności od przyjętej metody – to przedsięwzięcia albo logistycznie skomplikowane, albo drogie, a najczęściej zarówno kosztochłonne i trudne w realizacji. Dlatego w około 90% przypadków (tak jest na Dolnym Śląsku) stany zwierzyny zapisane w planach łowieckich przez dzierżawców oszacowane są na podstawie „tak zwanej” metody całorocznej obserwacji, która de facto nic nie kosztuje, a obawiam się, że często nawet nie wymaga podniesienia się z fotela przy biurku. Tak zwanej, bowiem nie jest to w istocie żadna metoda. Jak sama nazwa wskazuje, „metoda” winna mieć opracowaną metodykę i być powtarzalna. W przypadku obserwacji całorocznej brak jest spełnienia tych warunków. Jej dokładność, zarówno na poziomie obwodu, okręgu PZŁ, dyrekcji Lasów Państwowych czy wręcz całego kraju, możemy ocenić, porównując wykazywane stany zwierzyny z wielkością pozyskania, które jest co najmniej takie, jak wykazane w dokumentach, i teoretycznymi wskaźnikami przyrostu (które nota bene też należy zweryfikować). Matematyka nie pozostawia złudzeń. Gdyby nasze szacunki dotyczące liczebności były prawdziwe, już dawno zabrakłoby w naszym krajobrazie jeleni. Z innymi gatunkami wygląda to nieco lepiej, z naciskiem na „nieco”.

Pytaniem podstawowym jest, czy powinniśmy dążyć do zmian skierowanych ku zrationalizowaniu oceny liczebności i zagęszczenia zwierzyny. Zdecydowanie uważam, że tak. Po pierwsze – trzeba określić jako obowiązujące dla określonych gatunków zwierzyny metody jej liczenia, biorąc jednocześnie pod uwagę, że niebagatelne znaczenie mają także warunki terenowe. Dlatego, na przykład, nie można przyjąć tej samej metody w górach i na nizinach. Także nasza wcześniejsza wiedza o potencjalnym zagęszczeniu zwierzyny musi zostać wykorzystana. Liczenie dzików metodą tyraliery na Podlasiu w warunkach ostrej redukcji z góry skazane jest na porażkę, podczas gdy na Pomorzu Zachodnim być może jest to dobry sposób na oszacowanie liczebności tego gatunku. Po drugie – należy zrezygnować z powtarzanej regularnie od kilkudziesięciu lat pozorowanej „inwentaryzacji” zwierzyny metodą całorocznej obserwacji na rzecz rzetelnie przeprowadzonego liczenia w odstępach, powiedzmy, pięcioletnich (na przykład w ostatnim i piątym roku obowiązywania Wieloletniego Łowieckiego Planu Hodowlanego),

pod nadzorem i na koszt „właściciela”, czyli Skarbu Państwa. Oczywiście przy bardzo aktywnym udziale myśliwych. W okresach pomiędzy tymi wybranymi latami szacowanie liczebności odbywałoby się w oparciu o:

- ocenę przyrostu młodzieży i stosunku płci na podstawie masowych obserwacji, rzetelnie zapisanych na kartach obserwacyjnych przy okazji polowań i specjalnie poświęconych temu celowi wyjść na łowiska,
- realną ocenę rocznego przyrostu zrealizowanego, którego nie należy utożsamiać z jesiennym przyrostem młodzieży; śmiertelność z przyczyn innych niż użytkowanie łowieckie jest zjawiskiem, które nie kończy się z nastaniem sezonu polowań,
- analizę wyników polowań zbiorowych, szczególnie w odniesieniu do dzików,
- wielkość pozyskania łowieckiego.

Dysponując powyższymi informacjami, możemy bardziej precyzyjnie niż udając, że wykonano jakieś bliżej nieokreślone „obserwacje całoroczne”, obliczyć liczbę zwierzyny, którą mamy w obwodzie na początek kolejnego sezonu.

Ważnym zagadnieniem związanym z szacowaniem liczebności zwierzyny i poziomem pozyskania jest zaplanowane docelowe zagęszczenie poszczególnych gatunków na jednostkę powierzchni. Obowiązujące obecnie normy w żaden sposób nie odpowiadają zasobności pokarmowej dzisiejszych łowisk. Ustalone w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku wskaźniki dotyczyły zupełnie innego, znacznie uboższego lasu niż ten, który mamy dzisiaj po upływie ponad 40 lat. Co więcej, pojemność łowisk, obliczona przez poważnych pracowników naukowych, została po kilku latach arbitralnie zmniejszona przez urzędników, bo prawdopodobnie wydawała się zbyt duża. Chociaż pojemność ta formalnie już dawno przestała obowiązywać, to w pewnym sensie przełożono ją na dopuszczalne zagęszczenia, ujęte w zasadach hodowlanych ustalanych przez Polski Związek Łowiecki i zapisanych w Wieloletnich Łowieckich Planach Hodowlanych. Problem, z którym borykamy się od początku istnienia WŁPH, tj. od roku 1997, to ewidentne niedoszacowanie liczebności jeleni, będące wynikiem prób dopasowania dokumentów do nierealnych norm z pominięciem lub brakiem wiedzy o rzeczywistych zagęszczeniach. Myśliwi wykazywali zaniżone stany jeleni, aby nie narażać się na zwiększone plany odstrzału, w obawie przed ewentualnością ich niewykonania. Leśnicy z pewnością podejrzewali, że zagęszczenie jest znacznie większe od planowanego, ale dopóki nie wykazano tego empirycznie, przyjmowali zaniżone wielkości – również dlatego, aby nie spotkać się z zarzutem braku należytej dbałości o ochronę lasu przed szkodami poprzez

tolerowanie wzrostu liczebności tego gatunku. Po przeprowadzonych wielkim nakładem pracy, na zlecenie Lasów Państwowych, wielkoobszarowych inwentaryzacjach zwierzyny w różnych rejonach kraju, między innymi na terenie RDLP w Szczecinie i niemal wszystkich Leśnych Kompleksach Promocyjnych w Polsce – pod kierunkiem profesora Macieja Skorupskiego, a także na terenie RDLP we Wrocławiu pod kierunkiem profesora Bogusława Bobka – możemy teraz z całą pewnością powiedzieć, że zagęszczenie jeleni na 1000 ha lasu jest znacznie, a na niektórych obszarach wielokrotnie większe, niż przyjmowano wcześniej do rocznych planów łowieckich.

Stoimy dzisiaj w obliczu obowiązku sporządzenia nowych Wieloletnich Łowieckich Planów Hodowlanych na kolejną dziesięciolatkę 2017–2027. Jest to znakomita okazja do odejścia od fikcyjnych liczb i nierealnych założeń. Myśliwi w kołach łowieckich z terenu okręgów Polskiego Związku Łowieckiego w Jeleniej Górze, Legnicy, Wałbrzychu i Wrocławiu od kilku miesięcy zasypywani są przez nadleśnictwa prośbami o wypełnienie kart obserwacyjnych dotyczących wszystkich gatunków jeleniowatych i dzików, a lokalnie także muflonów. W drugiej połowie stycznia 2017 roku czeka nas jeszcze ostateczna inwentaryzacja zwierzyny na terenie całej RDLP we Wrocławiu. To duży wysiłek, sądzę jednak, iż warto go podjąć, bowiem jest szansa, że owocem tej pracy będzie dokument, którego założenia pozostaną aktualne przez cały okres obowiązywania – co do tej pory, trzeba uczciwie przyznać, nie zawsze się udawało.

Co bardzo ważne, myśliwi muszą zdać sobie sprawę, że nawet tam, gdzie wykazane zostanie zagęszczenie jeleni na poziomie 100 lub więcej osobników na 1000 ha lasu (a są takie miejsca), nie spowoduje to drastycznego podniesienia planów pozyskania. Mało jest czynników, które tak szkodzą gospodarce łowieckiej, jak wszelka aktywność i chęć uzyskania efektów z miesiąca na miesiąc. Dostosowanie liczebności zwierzyny do możliwości środowiska leśnego, a także znośnego dla rolników poziomu szkód w uprawach, z pewnością nie jest procesem, który powinien przebiegać gwałtownie.

Jedynym realnym zagrożeniem, które może spowodować poważne perturbacje w gospodarowaniu zwierzyną i finansach kół łowieckich, jest perspektywa rozszerzenia się zasięgu geograficznego afrykańskiego pomoru świń. Chociaż, jak dowodzą dotychczasowe doświadczenia, także z innych krajów, głównym wektorem rozprzestrzeniania się epidemii jest człowiek a nie dzik – to jednak musimy liczyć się z narastającym naciskiem na intensywny odstrzał i być może częstsze niż dla innych gatunków zwierzyny kontrolowanie liczebności populacji.

Na zakończenie chciałbym przypomnieć, że obok jeleni, danieli, saren i dzików – których nam nie brakuje, a nawet uważamy, że tu i ówdzie występują w nadmiarze – przedmiotem gospodarki łowieckiej są między innymi także zajęce i kuropatwy, które na Dolnym Śląsku właściwie przestaliśmy pozyskiwać w obawie, że pogłębimy spadek ich liczebności. De-



cyzja o powstrzymaniu się od polowań z całą pewnością była słuszna. Zachodzi jednak obawa, czy po około 20 latach myśliwi nie przestali się tymi gatunkami interesować. Czy ktoś jeszcze wykonuje taksacje pasowe celem określenia zagęszczenia zwierzyny drobnej. Jeżeli to się gdzieś zdarza, to chwala tym kołom łowieckim. Z pewnością są to jednak wyjątki.

Liczenie zwierzyny w polu jest znacznie prostsze niż w lesie i daje wiarygodne wyniki. Przy dzisiejszej technice (noktowizja, dobre reflektory) można szybciej (z samochodu) i równie skutecznie oszacować zagęszczenia nie tylko zajęcy, ale także drapieżników. Nie podejmując nawet próby rzetelnej inwentaryzacji, sami rezygnujemy z możliwości przywrócenia w przyszłości polowań.

LOCHY NA CELOWNIKU

Tekst: Antoni Przybylski

Zdjęcia: Fotolia

Wysokie plany pozyskania dzików wymagają dużej mobilizacji myśliwych. Ale czy konieczność zwiększonego odstrzału ułatwi wydłużenie okresu polowań na lochy? Dla zdecydowanej większości myśliwych zasady etyczne to więcej niż mało rozważny przymus. Efekt tego działania może być wręcz odwrotny od oczekiwań. Wiele z tych problemów poruszyłem w poprzednim numerze „Pasji” w artykule „Dziki – nowe spojrzenie”.

Gospodarowanie dzikiem w ostatnich kilku latach to pasmo ciągłych porażek. Zamieszanie i mętlik jest najdelikatniejszym określeniem tej sytuacji. W czekających na wejście w życie nowych zasadach gospodarowania populacjami zwierzyny grubej dzik potraktowany został marginalnie i nieodpowiedzialnie. Żadnych propozycji, żadnego pomysłu, nic, co mogłoby poprawić zarządzanie tym naszym najliczniej pozyskiwanym gatunkiem zwierzyny.

Sterowanie populacjami nie powinno być przypadkowym działaniem, a tak niestety jest w odniesieniu do dzika. Szczególnie obecnie, gdy od 2014 roku trwa redukcja liczebności zwana „depopulacją”. Popatrzmy na problem nieco inaczej, wykorzystując zdobycze nauki i praktyczne doświadczenia znawców tego gatunku.

Długi sezon

Okres polowań na dziki trwa cały rok, ale o tym, co wpłynie na wykonanie planu, w dużej mierze decydują pierwsze wiosenne miesiące sezonu łowieckiego. Na marzec, kwiecień i maj przypada kulminacja wyproszeń, a jednocześnie od 1 kwietnia rozpoczyna się najdogodniejszy czas na wzmożone pozyskanie przelatki. W tym okresie żaden rozsądny łowczy koła nie powinien wydawać zezwoleń na odstrzał wycinków i odyńców. Chodzi tu nie tylko o ewen-

tualne pomyłki, ale również o konieczność poprawy struktury płci, gdzie niestety od lat w każdej naszej dziczej populacji przeważają samice. Wiosną i wczesnym latem strzelać powinno się tylko przelatki i to przede wszystkim żeńskie. Każdy oszczędzony przelatek męski poprawi strukturę stada, a o to przecież chodzi. Poza tym znaczny odsetek przelatki żeńskich jest po swojej pierwszej huczce, którą odbyły jako warchlaki. Ich odpowiednio wysoki odstrzał zmniejszy liczbę potencjalnych loszek, a w efekcie przyrost. Potwierdzają to wyniki wielu badań, które wykazują, że w korzystnych warunkach przyrost, jaki może dać ta najmłodsza grupa wiekowa, osiąga od około 48% do 53% przyrostu całkowitego populacji.

Miesiące wiosenne często są przez myśliwych niedoceniane w polowaniu na dziki. Jest to okres, w którym powstaje dużo szkód, głównie na łąkach. To również czas, w którym właśnie lochy opuszczają watahy, by w spokoju i samotności przygotować się do kolejnych wyproszeń. Opuszczone ubiegłoroczne potomstwo, już jako przelatki, tworzy mniejsze lub większe ugrupowania. Niedoświadczone i pozbawione opieki lochy są nieostrożne i tracą regularność zachowań, jakie miały w grupie z matką. Włóczą się w obrębie znanego sobie rewiru i często jeszcze przy dobrym świetle regularnie wychodzą na znajome i atrakcyjne żerowiska. Jeśli nęcisko lub atrakcyjne pole leży w pobliżu ich dziennej ostoji, to w tych miejscach skuteczna może być wieczorna lub poranna zasiadka.

Z racji niewielkiego doświadczenia, przelatki nie kojarzą jeszcze huk wystrzału z niebezpieczeństwem. Jeśli strzelony z watahy osobnik zostanie w ogniu, pozostałe dziki po ucieczce z nęciska lub pola po krótkim czasie ponownie zameldują się na tym samym żerowisku. Cierpliwość myśliwego wynagrodzona zostanie drugim strzałem. Każdy wytrawny

myśliwy wielokrotnie miał tego typu przypadki podczas wiosennych polowań na przelatki. Dodatkową zaletą wiosennych polowań jest to, że mogą być wykonywane także w głębi lasu na przygotowanych nęciskach. Dopiero po rozpoczęciu siewów kukurydzy lub innych atrakcyjnych upraw, co następuje w końcu kwietnia lub na początku maja, polowanie powinno odbywać się tylko na zagrożonych szkodami polach. Od tego momentu stosujemy sprawdzoną w wielu łowiskach zasadę: „w lesie cisza, a polowanie tylko na polu”. Zbiega się to z rozpoczęciem uprawy pasów zaporowych, na których polowanie powinno być bezwzględnie zabronione. Chodzi tutaj przede wszystkim o jak najdłuższe zatrzymanie dzików w lesie i odciążenie ich od pól.

Zasady w rozsypce

Dążenie do ograniczenia wysokich stanów liczebnych dzików z powodu nie tylko szkód, ale i zagrożenia afrykańskim pomorem świń oraz koniecznością zmiany struktury płci, wymaga przyjęcia odmiennej strategii odstrzału. Temu celowi służyć powinien wyższy niż dotychczas odstrzał warchlaków i loch, niższy wycinków i młodych odyńców oraz umiarkowane pozyskanie przelatków, przede wszystkim męskich. Te podstawowe zasady, które są kluczem do osiągnięcia celu, powinny być jasno określone i sformułowane. Łowczy koła łowieckiego czy zarządca obwodu musi mieć wyznaczony cel, a myśliwy z zezwoleniem w ręku musi wiedzieć, jakiego dzika powinien pozyskać.

Realizacja tej strategii wymaga odpowiednich narzędzi wspomagających, którymi są między innymi:

- dostosowany do biologii gatunku okres polowań i okres ochronny,
- podział dzików na klasy wieku, czyli warchlaki, przelatki i dziki starsze,
- struktura pozyskania dostosowana do rzeczywistego stanu populacji,
- monitoring populacji,
- prowadzenie rejestru pozyskania według płci i wieku.

W naszej praktyce łowieckiej wiele z tych elementów nie jest obecnie branych pod uwagę lub są niedostosowane do aktualnych potrzeb. Nie ułatwia to wykonywania planów i może w konsekwencji spowodować pogorszenie jakości populacji, co już w wielu łowiskach jest widoczne.

Lochy na celowniku

Odstrzał loch, obojętnie, w jakim dozwolonym okresie można go wykonywać, zawsze wymaga ostrożności i rozwagi. Tego problemu nie ma przy pozyskaniu łań i kóz, dla których okres polowań usta-



lochy jest w powiązaniu z niezakłóconą regularnością urodzeń i wychowywania młodych. W przypadku dzików trudność polowań na lochy wynika z nienaturalnego rozregulowania terminu wyproszeń, które odbywają się obecnie na przestrzeni niemal całego roku. W tej sytuacji może się zdarzyć, że w sierpniu, październiku lub grudniu można strzelić lochę prowadzącą pasiakę. Paradoksalnie odstrzał takiej lochy będzie w zgodzie z przepisami, ale wbrew wszelkim zasadom etyki łowieckiej.

Czy możliwość zaistnienia tego typu zdarzeń, które z racji ich powszechności są już normalnością biolo-

Dzisiaj, gdy lochy proszą się praktycznie cały rok, ustalanie okresów polowań i czasów ochronnych na ten gatunek jest niezmiernie trudnym zadaniem.

W Niemczech, gdzie eksplozja populacji dzika nastąpiła kilkanaście lat wcześniej niż u nas, wypracowano zasady pozyskania, które na myśliwych nakładają obowiązek właściwej oceny przydatności lochy do odstrzału. Ważnym działaniem było przekonanie myśliwych, że lochy to nie „święte krowy” i też trzeba je pozyskiwać.

W terminarzu polowań dziki podzielone są tam na dwie grupy: pierwsza to odyńce i lochy, druga to



giczną, nie powinna spowodować koniecznej zmiany przepisów? Spowodowałyby to nie tylko poprawienie komfortu polowania na dziki, ale również przyczyniłyby się do uniknięcia różnych kłopotliwych sytuacji.

Kiedy jeszcze około 30 lat temu huczka i wyproszenia odbywały się najczęściej w biologicznych stałych terminach, a dzików było znacznie mniej niż obecnie, ustalony okres polowań na lochy nie budził zastrzeżeń. W sierpniu warchlaki były już wyrosnięte, bez charakterystycznych pasków, i odstrzał lochy nie zagrażał osieroconej młodzieży. W tamtych czasach późne wyproszenia były rzadkością.

warchlaki i przelatki. Na odyńce i lochy podstawowy okres polowań trwa od 16 czerwca do 31 stycznia, natomiast na warchlaki i przelatki – cały rok. Z uwagi na możliwość modyfikowania okresów polowań, w zależności od uwarunkowań w poszczególnych landach, w dwóch z nich okres polowań na lochy i odyńce jest nieco krótszy (Nadrenia-Westfalia 1.08–31.01, Turyngia 1.07–31.01), natomiast w pięciu landach na lochy i odyńce poluje się cały rok.

W przypadku warchlaków, przelatków i loch obowiązuje zastrzeżenie: „z wyjątkiem loch prowadzących”. Oznacza ono, że w okresie polowań nie można

strzelić każdej loszki warchlakowej, lochy przelatka lub lochy starszej prowadzącej warchlaki.

Co to jest locha prowadząca?

W Niemczech przyjęto proste i biologicznie uzasadnione rozwiązanie, na podstawie którego myśliwy łatwo może stwierdzić, czy locha jest prowadząca czy już nią nie jest. Za prowadzącą uznaje się taką, której warchlaki ukończyły około pół roku życia, a więc straciły już całkowicie pasiaste ubarwienie sukni. Według różnych badaczy i praktyków łowieckich warchlaki w tym wieku są już wystarczająco samodzielne i mogą

już od drugiego miesiąca życia, ale dopiero w wieku około 5–6 miesięcy pasy są już całkowicie niewidoczne i warchlak ma jednolite, rdzawo-brunatne ubarwienie. Do tego momentu uznaje się, że locha z takimi warchlakami jest lochą prowadzącą i nie należy jej jeszcze strzelać. Natomiast kiedy prowadzi całkowicie przefarbowane już potomstwo, można ją odstrzelić bez szkody dla sierot.

Należy przypomnieć, że locha karmi pasiaków do 3–4 miesiąca życia, co zbiega się z zanikiem prążkowanego ubarwienia. Natomiast żer naturalny dziczki pobierają już od drugiego tygodnia życia,



żyć bez lochy. Są biologicznie bardziej rozwinięte i przystosowane do życia niż osierocone w październiku cielęta lub kozłeta. Co prawda są jeszcze z matką i są nadal przez nią prowadzone, ale jej obecność nie jest już im bezwzględnie potrzebna. W przypadku jej śmierci tę rolę przejmą inne lochy z watahy. Masa tuszy warchlaków 3–6-miesięcznych waha się od 10 kg do 18 kg. Zachodzące zmiany w ubarwieniu sukni warchlaków są dobrą wskazówką oceny ich wieku w pierwszych miesiącach życia. Charakterystyczne pasiaste ubarwienie posiadają warchlaki do wieku około 3–4 miesięcy. Zaczyna ono stopniowo zanikać

a pod koniec pierwszego miesiąca potrafią już same płytko buchtować.

Uwzględniając znaczenie zachowań socjalnych dzików dla właściwego funkcjonowania populacji, zaleca się, by przy odstrzale loch obowiązywała zasada bezwzględnego oszczędzania przewodniczek watah, których znaczenie porównać można do licówek w chmarach jeleni. Odstrzał powinien dotyczyć przede wszystkim loch podporządkowanych, niżej stojących w hierarchii watahy. Są to osobniki młode i najmłodsze. Osierocone warchlaki pozostają w watazce rodzinnej pod dobrą opieką przewodniczki lub

starszych ciotek. Jeżeli zdarzy się przypadkowa śmierć lochy z watahy, to osierocone pasiaki bezproblemowo są karmione przez inne lochy watahy rodzinnej.

Inaczej należy postępować w przypadku loch samotnie wychowujących młode. Powinny być one oszczędzane przez okres całego lata z powodu braku możliwości adopcji. Z takiej grupy najlepiej strzelać warchlaki. Jeżeli jego odstrzał przeprowadzimy na powierzchni, gdzie występują szkody, to locha z resztą potomstwa nie wróci w to miejsce przez kilka dni. Ale gdy ją odstrzelimy, to osierocone warchlaki będą regularnie co noc żerować na zagrożonych szkodami polach. Dlatego sprawdzonym sposobem odstraszenia lochy z pola jest odstrzał jednego z jej pasiaków. Na nie polujemy przecież cały rok.

Struktura odstrzału

Realizując wysokie plany odstrzału, musimy stale pamiętać o konieczności dostosowania parametrów populacji do pewnego modelu. Jest nim populacja zrównoważona lub z niewielką przewagą samców nad samicami. Podstawowa trudność w uzyskaniu takiej struktury wynika ze stosowanej powszechnie nadmiernej ochrony loch, zbyt wysokiego pozyskania samców i niskiego odstrzału warchlaków. Tak realizowana struktura odstrzału działa również na zwiększenie przyrostu.

Problem z odpowiednio wysokim pozyskaniem loch istnieje nie tylko u nas, lecz także wszędzie tam, gdzie występują dziki.

Obecnie, po wielu latach dyskusji, skryształował się pogląd, że anormalny wzrost liczebności dzików wywołany został przede wszystkim przez ocieplenie klimatu i nadmiar żeru. Ten fenomen wymaga stosowania innej niż dotychczas strategii użytkowania. Jej podstawowym celem jest przebudowa struktury populacji w kierunku zwiększenia udziału osobników męskich kosztem zmniejszenia udziału osobników żeńskich. Sama redukcja ilościowa bez odpowiednio ukierunkowanej struktury odstrzału przyniesie niewielki skutek.

Osiąganie tego celu wymaga:

- zwiększenia odstrzału warchlaków, by jak najmniej z nich osiągnęło wiek przelatka,
- położenie nacisku na odstrzał żeńskich przelatków,
- odstrzał młodych loch z watah,
- oszczędzanie samców dwuletnich i starszych.

Przy obecnie wysokim udziale loszek warchlakowych w przyroście całkowitym, badacze niemieccy określili udział w przyroście od nich na poziomie 48–53%. Na lochy przelatkowe przypada 34–38% przyrostu całkowitego, natomiast na lochy trzyletnie i starsze zaledwie 18%. Zatem wszelkie działania redukcyjne w tej starszej grupie wiekowej loch, przy

spaczonej strukturze płci, są mało skuteczne. Regulacji należy dokonywać głównie w grupie warchlaków i przelatków, które dają łączny przyrost w wysokości około 82%. Przy wysokiej stopie przyrostu, osiągniętego poziom około 200%, odstrzał warchlaków powinien kształtować się na poziomie 75–80% ich stanu rzeczywistego.

Według różnych symulacji pozostawianie w takich populacjach więcej niż 20% przyrostu nie hamuje wzrostu liczebności dzików.

Dobre propozycje

Rozwiązanie uwzględniające powyższe argumenty zaproponował prof. dr Hans-Dieter Pfannenstiel („Wild und Hund” 6/2005). Przyjął prostą i zrozumiałą zasadę polegającą na tym, że:

1. Odstrzał warchlaków i przelatków powinien kształtować się w przedziale 80–90% odstrzału całkowitego, przy czym 2/3 powinno przypadać na warchlaki, a 1/3 na przelatki.

2. Udział w odstrzale osobników starszych, czyli trzyletnich i powyżej, powinien stanowić 10–20% odstrzału całkowitego, w tym pozyskanie loch powinno być dwukrotnie większe od odstrzału wycinków i odyńców.

Inne, podobne propozycje zalecają, by na jednego pozyskanego przelatka odstrzelić trzy warchlaki, natomiast na obszarach zagrożonych pomorem dzików, liczba odstrzelonych warchlaków na jednego przelatka powinna zostać zwiększona do pięciu sztuk.

Nie wylewać dzika z kąpielą

Nieuwzględnianie w realizowanym pozyskaniu dzików struktury odstrzału według grup wiekowych, a takie potknięcie wystąpiło niestety u nas w Polsce od sezonu 2014/15, jest absolutnie niedopuszczalne, wręcz szkodliwe. Czy wykonujemy redukcję czy nie, zawsze powinniśmy kierować się pewnymi zasadami w gospodarowaniu dzikiem. Jest to szczególnie ważne, gdy populacji zagraża pomór lub występują wysokie szkody. Również wtedy, gdy w nieodpowiedzialny sposób skraca się okres polowań na lochy.

W maju ubiegłego roku sygnalizowano mi z wielu miejsc, że na polach spotyka się żerujące w ciągu dnia dziki. No, niestety, tego się można było spodziewać. Jest to pożałowania godny skutek bezładnej, często bezmyślnej redukcji i nieodpowiedzialnego odstrzału loch. Decyzje polecające zwiększać odstrzał bez szczegółowego rozpoznania problemu są nie do przyjęcia. Aby unikać takich sytuacji, wróćmy do normalności. Strzelajmy, a jak trzeba to nawet redukujmy, ale zawsze z głową, z poszanowaniem etyki i biologicznych wskazówek.

...O „BAŻANCIE”

Rozmawiam z Kolegą
Adamem Rudnickim,
łowczym
Koła Łowieckiego
„Bażant” w Oławie

Tekst: Jacek Seniów
Zdjęcia: KŁ „Bażant” w Oławie, Jacek Seniów



– *Adamie przybliż nam koło, w którym kierujesz sprawami łowieckimi.*

– Nasz „Bażant”, choć dynamiczny i dziarski, to można rzec dojrzały, a nawet starszy pan. Powstał w 1952 roku. W 2017 roku obchodzimy jubileusz 65-lecia koła. Gospodarujemy w trzech obwodach łowieckich o łącznej powierzchni 12 827 hektarów, w tym 3254 hektary lasu. Nasze cztery poletka łowieckie to w sumie 10 hektarów upraw roślin motylkowych, krzyżowych i topinamburu. Od kilku lat rokrocznie, w ramach poprawy warunków bytowania zwierzyny i zmniejszania szkód leśnych powodowanych przez zwierzynę płową, sadzimy około 700 sztuk jabłoni, gruszy, dzikiej róży i śliwy, kaliny koralowej oraz leszczyny. W tym roku pierwsze owoce cieszyły nasze oczy, a w przyszłości będą dogadzać żołądkom naszej zwierzyny. Na wyłączonym z użytkowania łowieckiego poletku zbudowaliśmy specjalną ambonę obserwacyjną pozwalającą na komfortowe całoroczne, bez względu na warunki atmosferyczne, oglądanie czy filmowanie zwierzyny.

– *Teraz rozumiem, skąd szkody łowieckie na poziomie 2–3 tysięcy złotych przy pozyskaniu 450 sztuk grubego zwierz, i to pozyskaniu ciągle rosnącym, a także rosnących stanach zwierzyny.*

– Nie tylko to. Myślę, że to przede wszystkim zasługa 30 kilometrów pasów zaporowych, na których wysiewamy około 40 ton kukurydzy celem powstrzymania zwierzyny od wychodzenia na pola. Zresztą nie tylko gruby zwierz z tego korzysta. Spotykam na polach też tabuny dzikich kaczek, w środku sosnowego lasu i z dala od wody. Ostatnio zakupiliśmy nowy ciągnik z talerzówką, na której nasz Kolega Marcin Łabentowicz skonstruował i zamontował specjalny siewnik znakomicie spełniający swoje zadanie. Źródłem naszych efektów są ludzie, nasi członkowie. Wszyscy są bardzo zaangażowani w działalność koła, ale kilku z nich to ponadto niezwykle ciekawi osobnicy. Mamy dwóch obiężyświatów łowieckich: Kolegów Henryka Konopkę i Andrzeja Obertyna. Heniek to znakomity, słynny na całą Polskę i nie tylko, preparator. Towarzyszył w afrykańskich łowach śp. Januszowi Sikorskiemu, często zwanemu Łowczym

Koronnym Polski. Sam też bywał na wielu łowiskach zagranicznych. Pan Janusz Sikorski zawsze podkreślał jego zmysł obserwacyjny, co znajdowało odbicie w doskonałości wykonywanych eksponatów. Andrzej, syn przedwojennego leśnika, przemierzał łowiska Syberii, Kazachstanu, Białorusi i Afryki, zbierając ciekawą kolekcję trofeów. Hoduje daniele, a jego stawy rybne to bogactwo ptactwa wodnego, chętnie się tam łęgnącego. Daniele to też pasja Zbyszka Bojakowskiego. Specjalista przetwórstwa mięsnego, który w swoim zakładzie ma dział produkcji wyrobów z dzicyzny. Kucharzenie mu nieobce, a w jego piwniczce można trafić na niejednego nalewkowy rarytas. Zbyszek Dziurakowski to pasjonat myśliwskiego strzelectwa sportowego i kynologii łowieckiej. Organizator, a przede wszystkim uczestnik, wielu zawodów strzeleckich, o czym świadczy kolekcja pucharów i pamiątek. Niezwykle interesujący jest zbiór często przedwojennych jeszcze trofeów i bibelotów łowieckich Andrzeja Olejnika, którego dziadek, gajowy, polował z hr. Potockim. Dokumentują to zdjęcia zdobiące kolekcję Andrzeja, a prezentowane swego czasu w „Łowcu Polskim”. Nasz Prezes Michał Wąsiewicz zdaje się nie zauważać swoich 75 lat i zdarza się, że na polowaniu stanowi swoją kondycją nie lada wyzwanie dla młodszych kolegów. A jeśli nie na „lwy by” lub ryby, to rusza na grzyby. „Hubertówka” to nasza stacja z miejscem na grill, no i oczywiście kapliczkę św. Huberta. Jest dziełem naszego poprzedniego, wieloletniego prezesa koła Stanisława Madejskiego, który kierował naszymi działaniami przez 35 lat. Był członkiem nie tylko Wojewódzkiej i Okręgowej Komisji Rewizyjnej PZŁ, ale i Głównej. Jego pomoc przy usuwaniu skutków powodzi 1997 roku na myśliwskiej strzelnicy była nieoceniona. Wzorem, budzącym nasz najgłębszy szacunek, jest były łowczy Mieczysław Cebula. Pełnił tę funkcję przez 50 lat, od założenia koła do swojej śmierci w 2002 roku, co jest ewenementem w skali kraju. Umiał znaleźć wspólny język z każdym i bez znaczenia był status społeczny jego partnera. Znał wszystkie czasy polskiego łowiectwa. Jego doświadczenie, połączone z fachową wiedzą, było gwarancją naszych sukcesów.



– Adamie, słuchając, jak mówisz o łowiectwie, kole, kolegach, nie mam żadnych wątpliwości, że to Twoja pasja. Ale gdy patrzę na szkółkarstwo, którym się zajmujesz i jakie tu działka tworzysz, oraz na twoją pasiekę, to zaczynam mieć wątpliwości. Bo to też twoje pasje, ale która jest pasją życia, a może to uzupełniające się trio?

– Moje pszczelarstwo to po trosze dzieło, do którego wprowadził mnie drogi Kolega po fachu, leśniczy szkółkarz Stanisław Ziąja, wieloletni Prezesa Koła „Korona” z Jelcza-Laskowic. Stanisław, widząc, że interesuję się szkółkarstwem ozdobnym, poparł w nadleśnictwie moje zatrudnienie jako podleśniczego na prowadzonej przez niego szkółce, którą teraz ja kieruję jako leśniczy szkółkarz. Przeżyłem niejedną przygodę łowiecką ze Stanisławem. Był on dopełnieniem mojej osoby, a ja chciałem być tym samym wobec niego. Widzisz, wszystkie moje pasje są bardzo dla mnie ważne, gdyż każda z nich jest jak pora roku. Przemija intensywność jednej, a już za moment następna się upomina o pielęgnację i tak rozpoczynając od wczesniej wiosny, intensywność prac szkółkarskich jest tak duża, że brakuje czasu na wszystko. Jak to mówią: czego leśnik szkółkarz nie zrobi na wiosnę, tego już w tym roku nie zrobi. Z początkiem lata ruszają prace w pasiece – pierwsze pożytki wiosenne od kwitnienia lipy po zakończenie prac podczas wybierania miodu nawłociwego. Dalej przygotowanie pasieki do zimowli. Potem intensywność łowiecka rozpoczynająca się całorocznie wyczekiwaniem rykowiskiem, gdzie obserwacja tych wspaniałych zwierząt pochłania mnie całkowicie. Następnie przychodzi, często niełatwy, zimowy czas w łowisku. Letnią porą przygotowane poletka zgrzyzowe ułatwiają znacznie przetrwanie tego okresu. Kiedy pola okryje śnieg, a mróz w znacznym stopniu utrudnia zdobywanie żeru, zaś wymagania energetyczne wzrastają, zamieniamy pasy zaporowe, powstrzymujące zwierzynę od wyjścia na pola, w karmowiska, pomagające jej przeżyć ten trudny czas. I tak koło się zamyka. Intensywność zajęć w poszczególnych pasjach powoduje, że czas płynie nieubłaganie – rok po roku i znowu koniec roku.

– **Dziękuję za rozmowę i jedyne, co mogę rzec, to po żeglarsku: tak trzymajcie!**





Pastorałki w myśliwskiej oprawie



Tekst: Jacek Seniów
Zdjęcia: Archiwum ks. Witolda Hyli,
Jacek Seniów

Księdza Witolda Hyle, kapelana myśliwych i leśników Archidiecezji Wrocławskiej, znamy wszyscy. To dobry duch wielu naszych poczynań i orędownik spraw tak łowieckich, jak i związanych z innymi aspektami ochrony środowiska.

– Ale jak zostałeś myśliwym i jaką rolę w Twoim życiu pełni łowiectwo?

– Rodzinnych tradycji łowieckich ze strony polujących przodków nie mam, ale tkwi to gdzieś w moich genach. Wychowałem się w na wsi, w domu pod lasem. Mama moja była nauczycielką biologii. Codziennie obserwowałem otaczającą mnie przyrodę. Chłonałem wszystkie jej wonie i dźwięki, szczególnie te dobiegające z lasu. Tu przewodnikiem był mój tato. To on pokazywał mi tropy zwierząt, uczył ich czytania. To dzięki niemu mogłem powiązać leśne głosy z konkretnymi zwierzętami lub zjawiskami natury. Odkąd pamiętam, zawsze czułem związek z przyrodą. W pewnym momencie dowiedziałem się, że są myśliwi – chciałem zostać jednym z nich. Przyszło to zupełnie naturalnie – ten dom pod lasem, sam las i otoczenie wokół, jakże mogło być inaczej! Po prostu natura była środowiskiem, w którym się wychowałem, byłem w nim zanurzony, tak więc łowiectwo było dla mnie czymś absolutnie naturalnym. Choć przyznaję, że w pewnym momencie miałem dylemat: seminarium czy leśnictwo?

Uważam łowiectwo za drogę poznania przyrody, kontaktu z nią i mądrego jej użytkowania. Jest ono

również formą kontaktu człowieka z człowiekiem, sposobem samorealizacji, pasją. Myśliwi, których znam, wbrew obiegowym opiniom to humaniści, ludzie wrażliwi. Ta pasja dała im wspólny język nie tylko w postaci specyficznego, wywodzącego się z wielowiekowych tradycji słownictwa, ale także pobudza do wspólnych działań na rzecz środowiska naturalnego. Dla nich ekologia to nie modne hasło, zysk, to konkretna praca dla tego środowiska, jego utrzymanie, zachowanie dla potomnych w stanie możliwie nienaruszonym. Dla mnie to znacznie więcej niż hobby. To pasja, wspólne działanie, poprzez kontakty z ludźmi na rzecz ich spraw w świecie przyrody. To normalność. Właśnie tego szukam w łowiectwie, tym oczywistym związku człowieka z naturą.

– Stąd te pastorałki w myśliwskiej oprowie?

– Pastorałki są wzajemną inspiracją zespołu sygnalistów myśliwskich Tryton i moją. Z przyczyn, o których już mówiliśmy, tworząc kolejne szopki bożonarodzeniowe, zacząłem do ich wystroju wprowadzać spreparowane zwierzęta. Ktoś może powiedzieć: teatr lasu. Ale to zaczęło wiązać odbiorcę z naturą, prowadziło do niej. Wzbudziło duże za-



interesowanie wiernych. Ludzie zwrócili uwagę na edukacyjny charakter tych szopek. Pamiętam młodą, około trzydziestoletnią parafiankę, która powiedziała mi, że jest weganą, a jej dziecko nigdy nie tknie mię-



sa, ale te szopki to wiedza o otaczającym nas świecie, od którego coraz skuteczniej oddziela nas tworzona przez ludzi cywilizacja techniczna. Inna, starsza pani, opowiadała mi o przeżyciu, jakim było dla niej dotknięcie zwierzęcia spreparowanego, lecz dla niej prawdziwego, spotkanego pierwszy raz w życiu. Te kontakty z moimi parafianami uzmysłowiły mi, jak oni niewiele wiedzą o łowiectwie i myśliwych. Często praktycznie nic, jedynie kilka przypadkowo zasłyszanych sloganów, niezwyfikowanych opinii. A tu coś nowego, czas na obserwację i refleksję. Widocznie te szopki zwróciły też uwagę naszych sygnalistów. Jeden z nich jest moim parafianinem. Padła propozycja: a jakbyśmy zagrali na pasterce? W 2013 roku, w oktawę Bożego Ciała, nastąpiło pierwsze spotkanie sygnalistów Trytona i myśliwych z moimi parafianami. Potem pierwsza wspólna pasterka, ograna rogami myśliwskimi. W 2014 roku w oktawie myśliwi udziału nie wzięli, co zaraz zostało przez zaniepokojonych parafian zauważone. Okazało się, że ludzie oczekują kontaktu tak z myśliwymi, jak i z polskimi tradycjami łowieckimi, które doskonale wpisują się w wigilijny, bożonarodzeniowy klimat. Tak też powstała tradycja naszych klecińskich pasterek rogami myśliwskimi granymi. W tym roku, 2016, w dniu naszego patrona – 3 listopada – odprawimy pierwszą uroczystą mszę hubertowską w tradycyjnej myśliwskiej oprawie, z psami, sokołami, rogami granymi. Już docierają do mnie sygnały, że jest bardzo oczekiwana przez parafian. Wracając do pasterek – cieszy to, że przyjeżdżają na nie również ludzie z innych dzielnic miasta. Mimo zmęczenia po świątecznych przygotowaniach, coś ich tu ciągnie. Na pewno inna atmosfera wystroju, ale przede wszystkim jednak urok muzyki wykonywanej na rogu myśliwskim. To, okazuje się, głęboko w nas tkwi i wraca. Szczególnie w taką noc. Znowu mamy tu kontakt z drugim człowiekiem i pasję wspólnego

działania, o czym już wcześniej mówiłem. I jeszcze jedno, co najwyraźniej zaczyna działać: wiedza stąd płynąca. Jej brak budził lęk, jak przed wszystkim, co nieznanne, a w efekcie wrogość. Tu, przy szopce czy na pasterce, to się zaczyna zmieniać. Nie unikam kontaktów z ludźmi, wręcz przeciwnie, moje powołanie i praca to spotkania w różnych sytuacjach. Rozmawiam z nimi o wszystkim, także o łowiectwie, myśliwych, pożytkach z natury, ale i o jej pielęgnowaniu.

– *Tak więc w tym roku czeka nas pierwsza uroczysta msza hubertowska, z pełną oprawą myśliwską, nawiązująca do naszych polskich, ba, wręcz staropolskich tradycji i kolejna pasterka?*

– Oczywiście. Myślę, że msze hubertowskie wzorem pasterek wejdą do kanonu tradycji naszej parafii.

– *Czyli kontynuacja dwóch ważnych elementów, związanych z polską kulturą łowiecką?*

– Tak. Myślę, że widać tu głęboki związek naszej kultury łowieckiej z kulturą narodową. Ta pierwsza jest nierozdzielnym elementem tej drugiej.

– *Biorąc pod uwagę Twoje zaangażowanie w oprawę innych imprez łowieckich, tak w kołach, jak i uroczystościach okręgowych, masz niemało pracy, a przy tym jesteś też kapelanem leśników, co wymaga czasu i energii. Ale też, znając Twój zapał, czy możemy się jeszcze czegoś spodziewać? Zdradzisz nam? Nie mów tylko, że spoczywa to wyłącznie w rękach boskiej opatrności.*

– Nie inaczej!





Westley Richards & Co.

spotkanie tradycji z nowoczesnością

Tekst: Jacek Seniów

Zdjęcia: Terry Allen (Westley Richards)

Chcę, aby ludzie do nas przychodzili, ponieważ poszukują broni wykonanej według naszych najlepszych umiejętności. Sprzedaż naszych produktów to nie jedynie transakcja handlowa, bowiem piękno broni robionej na zamówienie tkwi w tym, że tworzona dla kogoś indywidualnie jest podróżą, którą klient odbywa razem z nami.

Simon Clode

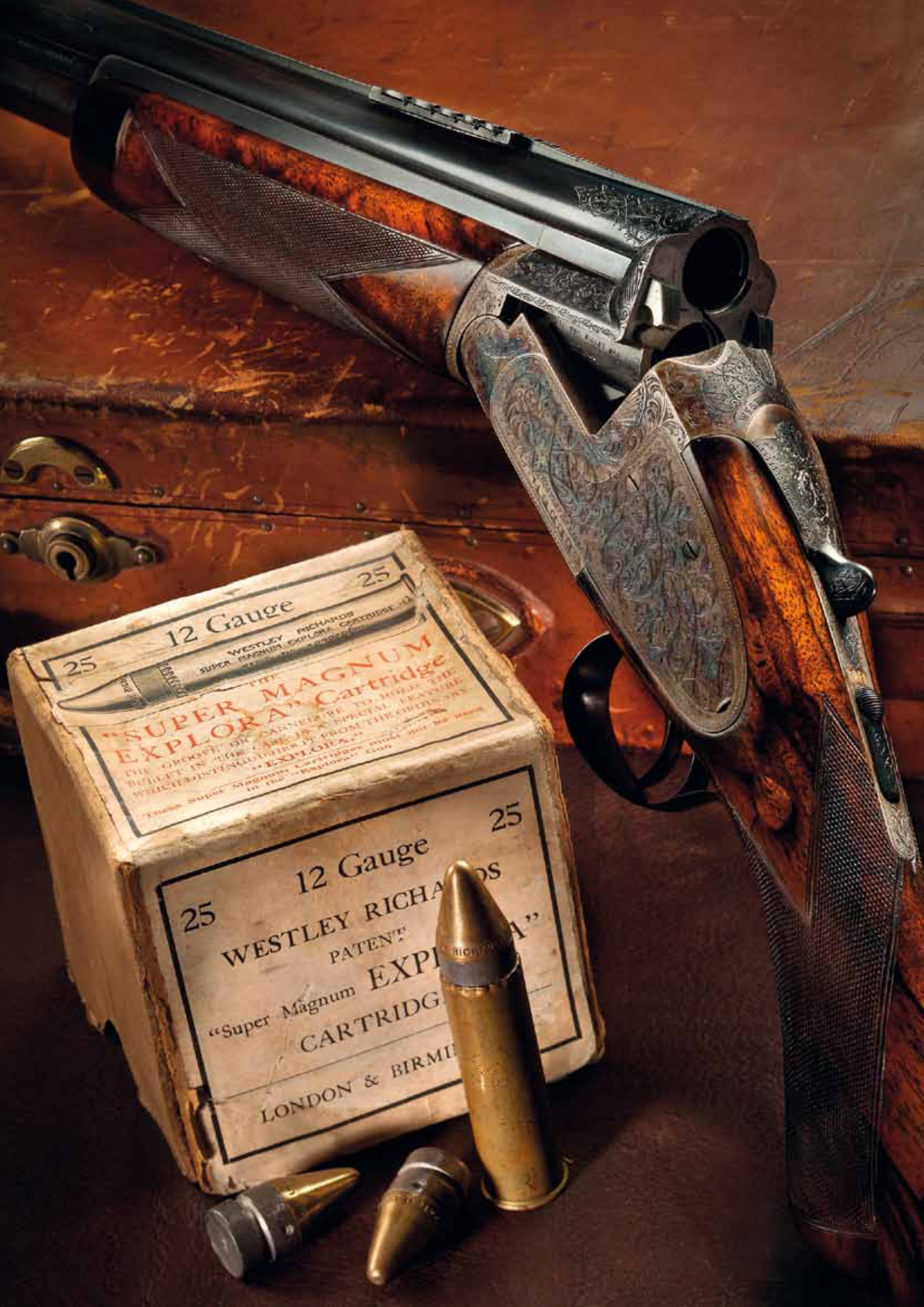
Westley Richards & Co. to nie tylko firma produkująca od ponad 200 lat najwyższej klasy broń myśliwską, to także miejsce spotkania tradycji i nowoczesności, gdzie rusznikarstwo jest rozumiane jako sztuka w najbardziej górnolotnym znaczeniu tego słowa. Założył ją w 1812 roku w Birmingham, centrum angielskiego przemysłu metalowego, w dobie światowej rewolucji przemysłowej, William Westley Richards, dając początek firmie o tradycjach rodzinnych trwających do dziś. Był to czas wojen napoleońskich i wojny Anglii ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki, a Birmingham było głównym ośrodkiem angielskiego rusznikarstwa promieniującego na cały kraj i nie tylko. Dość wspomnieć słynną dzielnicę Gun Quarter. Był to również czas schodzenia ze sceny broni skałkowej, a pojawienia się broni kurkowej i w końcu zamiany ładowania odprzodowego na odtylcowe. Przypomnę, że bardziej u nas popularne firmy jak James Purdey & Son oraz Holland & Holland powstały odpowiednio w 1814 i 1835 roku.

Firma Westley Richards & Co. wniosła wyjątkowo duży wkład w rozwój myśliwskiej, choć nie tylko, broni palnej. Dość zauważyć, iż w latach 1821–1920 zdobyła 155 patentów. 55 z nich opracował sam lub wspólnie balistyk o międzynarodowej renomie Leslie B. Taylor – twórca współczesnych szybkich i mocnych kalibrów jak .318, .425 czy .476. Genialny, ścisły umysł, pasjonat strzelectwa i łowiectwa, również poeta publikujący pod pseudonimem Laurence Forth. Przeprowadził firmę przez okres I wojny światowej. W jego czasach proch dymny ustąpił miejsca bezdymnemu, który zrewolucjonizował konstrukcje tak broni, jak i amunicji.

Westley Richards opatentował tak istotne rozwiązania jak: w 1855 roku konstrukcję broni odtylcowej o uchylnych lufach, w roku 1858 broni odtylcowej łamanej i słynny karabin odtylcowy Monkey Tail; a w 1862 roku gilzę z masy papierowej do broni łamanej. W 1866 roku opatentował nabój centralnego zapłonu w gilzie papierowej z metalowym okuciem i kryzą, alternatywnie w gilzie metalowej oraz nabój bezkryzowy, zaś w 1871 roku ekstraktor łuski mosiężnej. Rok 1875 jest rokiem szczególnym, bowiem zostaje opatentowane jedno z fundamentalnych rozwiązań współczesnej broni myśliwskiej – zamek Ansona i Deeleya. Rok 1879 przynosi bezpiecznik suwakowy, a w roku 1894 zarejestrowano patent eżektoru, który dalej rozwijany stał się jednym z najnowocześniejszych rozwiązań do dzisiaj stosowanych. Rok 1895 przynosi nabój scalony w łusce metalowej, pierwsze rozwiązania jednosłupowe selektywne, nad którymi pracę kończy patent z 1901 roku. Dały one produkt absolutnie bezpieczny i niezawodny, do zastosowania we wszystkich typach broni dwulufowej. Tak jak w przypadku eżektorów, Westley Richards był tu pionierem.

W 1897 roku następuje kolejne udoskonalenie zamka systemu Ansona i Deeleya dające zamek wymienny, czyli powstaje słynny i do dzisiaj w niezminionej formie szeroko stosowany „detachable lock” lub „drop lock” – rozwiązanie flagowe firmy pozwalające na wymianę uszkodzonego zamka w ciągu paru sekund bez potrzeby korzystania z pomocy rusznikarza i narzędzi. W 1905 roku powstaje słynna „Explora” – broń śrutowa w kalibrze 12 umożliwiająca w razie potrzeby skuteczne i precyzyjne strzelanie nabojami kulowymi. Strzelano z niej nabojami Magnum i Super Magnum. Korzystał z niej Roald Amundsen

Obok: wybrane strzelby firmy Westley Richards w kalibrach .410 i 28, z wymiennymi zamkami, grawerowane przez Alana Browna i Philla Coggana



25 12 Gauge

WESTLEY RICHARDS
SUPER MAGNUM EXPLORA CARTRIDGE
PATENT
"SUPER MAGNUM"
CARTRIDGE

THE GREATEST DISCERNIBLE TO HOLD THE BULLET IN THE CASE IS A SPECIAL FEATURE WHICH DISTINGUISHES IT FROM THE ORDINARY "EXPLORA"

25 12 Gauge

WESTLEY RICHARDS
PATENT
"SUPER MAGNUM EXPLORA"
CARTRIDGE

LONDON & BIRMINGHAM

w czasie pokonywania Przejścia Północno-Wschodniego. Później w oparciu o jej rozwiązania techniczne powstała Fauneta, będąca jej wersją w kalibrach 20 i 28. Rok 1914 przynosi kolejną specjalność Westleya Richardsa – produkowaną tylko przez niego broń typu Ovundo pozwalającą na natychmiastową samodzielną kontrolę stanu mechanizmów. Broń ta miała swój złoty okres w latach 20. i 30. XX wieku. Dzisiaj zaczął się jej renesans. Jedną z ciekawostek jest to, iż Westley Richards w 1852 roku stworzył pierwszą na świecie lufę poligonalną, jednak wynalazku tego nie opatentował. Zrobił to Whitworth w 1854 roku i jemu najczęściej jest przypisywany ten wynalazek. Znakiem rozpoznawczym Westleya Richardsa jest sworzeń ryglujący lufy w baskili zwany „doll’s head”, gdyż swoim kształtem przypomina głowę lalki.

Pierwsza siedziba firmy mieściła się przy High Street. W 1815 roku Westley Richards otwiera przedstawicielstwo w Londynie przy 178 New Bond Street, a kieruje nim William Bishop. Postać instytucja, legendarna i niezwykle szacunek w londyńskiej socjocie. Z uwagi na nazwisko zwano go „The Bishop of Bond Street”, czyli „Biskupem z Bond Street”, co samo w sobie świadczy o jego pozycji i statusie w Londynie. W 1917 roku przedstawicielstwo firmy przeniosło się na 23 Conduit Street. Kieruje nim wtedy Artur Gale – postać równie nietuzinkowa, szeroko znana i poważana w świecie brytyjskich strzelców i myśliwych, jak i londyńskim towarzystwie. W 1895 roku Artur Gale jest jednym z założycieli Middlesex Clay Bird Shooting Club. Agenda Westleya Richardsa to sklep w stylu eleganckiego salonu myśliwskiego mogący zaspokoić najbardziej wybredne gusty i wyszukane potrzeby swoich klientów w zakresie sprzętu strzeleckiego i ekwipunku myśliwskiego. Zapewniał swoim klientom możliwość wypróbowania nabywanych produktów i trenowania własnych umiejętności

Obok: strzelba Ovundo Explora kalibru 12 z amunicją Westley Richards Super Magnum Explora, wykonana w 1915 roku



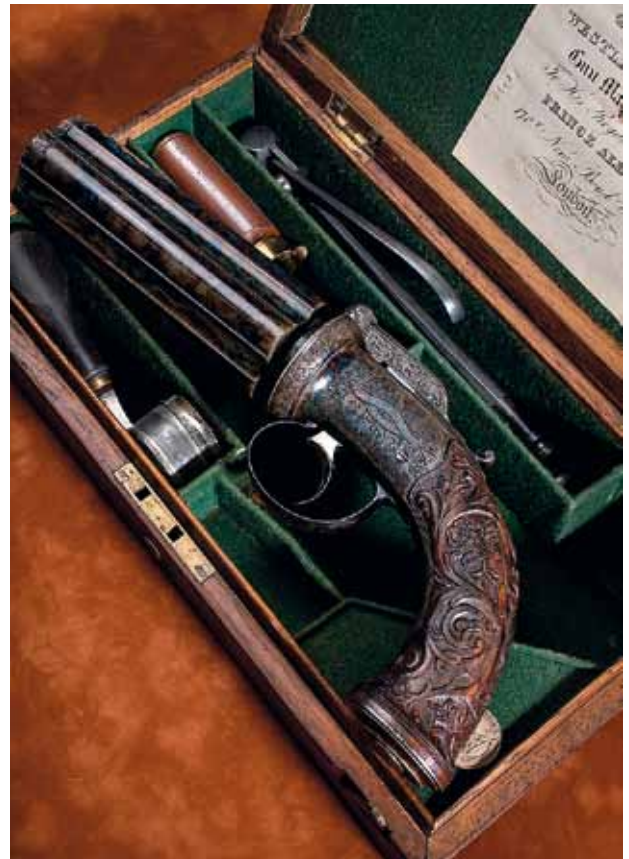
ści w Westley Richards Shooting School and Practice Ground w oddalonym o 30 minut jazdy od jego siedziby Welsh Harp koło Hendon. Firma, prezentując swoje wyroby klientom czy na wystawach, posługiwała się bogato i stylowo ilustrowanymi katalogami.

Dynamiczny rozwój wymagał nowej przestrzeni. W 1894 roku produkcja zostaje przeniesiona z Birmingham do nowo zbudowanej fabryki w Bournbrook. Był to obiekt, jak na tamte czasy, bardzo no-

Powyżej: para strzelb Fauneta w kalibrze 20, wykonanych w 1911 roku z emaliowanymi portretami właściciela maharadży Patiala



Portret Williama Bishopsa – legendarnego „Biskupa z Bond Street”, obraz olejny Henriego Barrauda z 1848 roku



Pięciostrzałowy rewolwer perkusyjny w kalibrze 55 produkcji firmy Westley Richards z połowy XIX wieku



Pierwsza strzelba odtylcowa sprzedana przez firmę Westley Richards z charakterystyczną długą dźwignią klucza i typowym dla firmy zamknięciem „doll's head”. Na metalowej stopce wygrawerowane dane właściciela, cena i rok produkcji

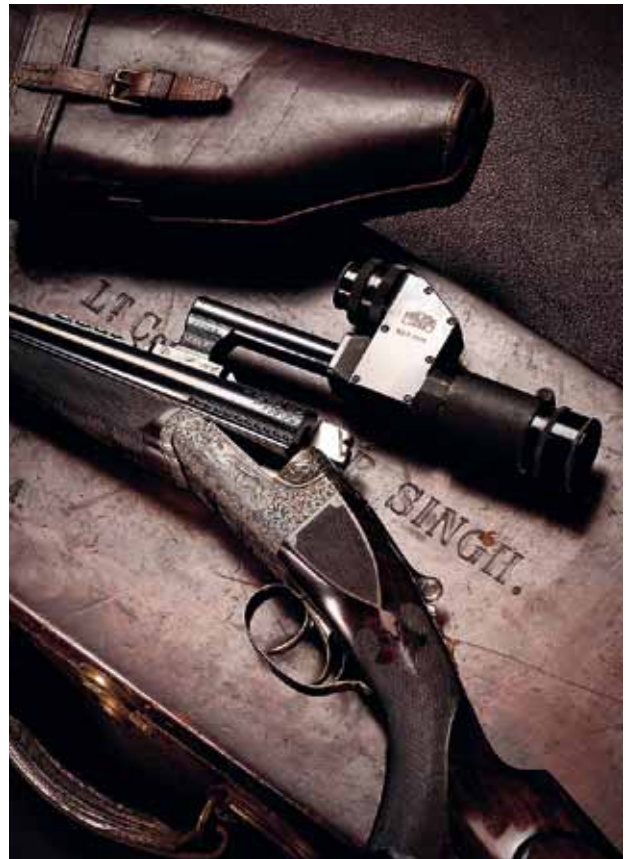
woczesny, o stylowej architekturze. Sklep został przeniesiony najpierw na Corporation Street, a potem do Bennetts Hill, gdzie pozostał do wczesnych lat 60. XX wieku. W tym czasie fabryka sprzedawała całą roczną produkcję około 500 sztuk na bieżąco.

Lata 20. i 30. XX wieku to złoty okres polowań w Afryce i Azji, kontynuacji licznych dotychczasowych i nowych badań nieznanymi jeszcze lub słabo poznanych zakątków świata. Rzesze podróżników i myśliwych posługiwały się bronią produkcji Westleya Richardsa, a firma realizowała też zamówienia indywidualne. Listę najbardziej prominentnych osób otwiera płk Peter Hawker – jeden z najbardziej znanych angielskich sportsmenów pierwszej połowy XIX wieku, autor wielu wydawnictw związanych z bronią i sztuką strzelania. Następnie William Cotton Oswald, lekarz Kompanii Wschodnioindyjskiej, który od 1830 roku zaczął odkrywać Afrykę. W latach 1844–1855 wspólnie z Dawidem Livingstonem podróżował i badał tereny przyległe do rzeki Zambezi. Livingston opisał ich wspólne podróże w wydanej w 1858 roku książce „Missionary Travels”, a swego syna nazwał jego imieniem. W czasie jednej z ekspedycji odkryli jezioro Ngami. Oswald był człowiekiem wyjątkowej odwagi i zimnej krwi. Na słonie polował z psami i do zwierzyny zbliżał się tak blisko,

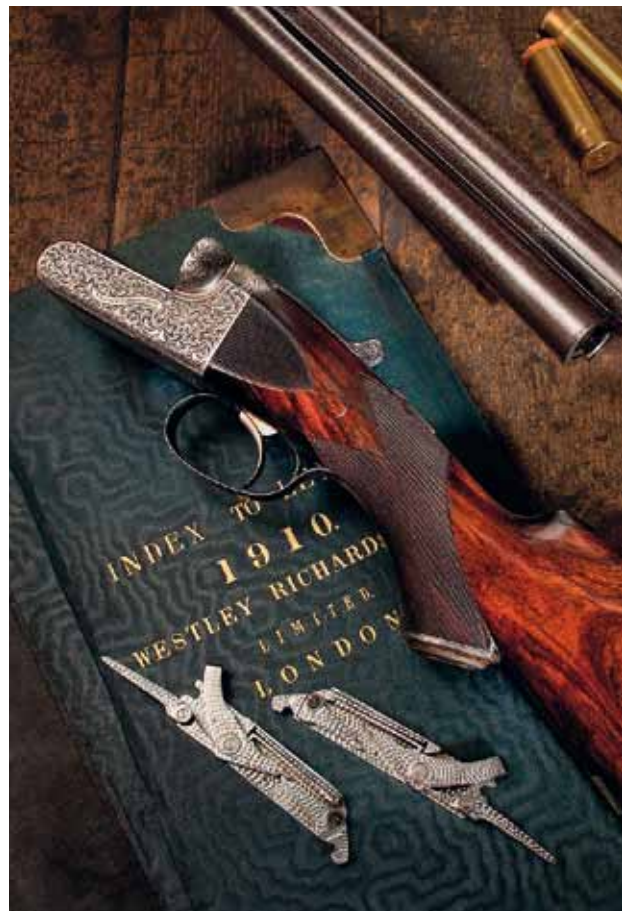


Cztery strzelby pokazujące ewolucję stosowanych przez firmę dźwigni kluczy zamykających broń, wykonane w latach 1862–1865

jak nikt przed nim, co wzbudzało ogromne uznanie miejscowych przewodników i myśliwych. Miał opinię wyjątkowego dżentelmena, traktującego z olbrzymim szacunkiem afrykańską ludność. Osoba kapitana Fredericka Courteneya Selousa, którego imię nosi jeden z największych i najbardziej znanych rezerwatów przyrody w Afryce, nie jest miłośnikom łowiectwa i outdooru obca. Założony zaś przez niego w 1922 roku Selous Game Reserve jest na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Jego postać była inspiracją dla H. Ridera Haggarda, autora „Kopali króla Salomona”. Był absolwentem ekskluzywnego koledżu w Rugby. Pobierał nauki w Niemczech i Austrii. Polował w całej Afryce Środkowej i Południowej, od Konga po Transvaal. W 1892 roku Królewskie Towarzystwo Geograficzne odznaczyło go swoim medalem za 20 lat badań Zambezi. Podczas wypraw zebrał kolekcję ponad 5000 gatunków roślin i zwierząt, w tym 524 gatunki ssaków. Zdecydowana większość z nich stanowi kolekcję Muzeum Historii Naturalnej w Londynie jako Selous Collection. Zoologowie nazwali dwa podgatunki ssaków jego imieniem, a widok Selousa z siatką na motyle nie należał do rzadkości. Był bliskim przyjacielem Theodore’a Roosevelta, późniejszego prezydenta USA, oraz Cecila Rhodesa i Fredericka Russella.



Ekspres w kalibrze .318 z celownikiem optycznym Carl Zeiss, wyprodukowany w roku 1911



Strzelba „duck gun” w kalibrze 8 z lufami ze stali damasceńskiej, wykonana w 1911 roku, pokazane również wymienne zamki



Jednospustowy ekspres Jamesa Sutherlanda w kalibrze .577, wykonany w 1906 roku. Na zdjęciu widoczne zamki wymienne broni

W 1916 roku kapitan Roald Amundsen, pierwszy człowiek, który zdobył oba bieguny, przed wyruszeniem na Przejście Północno-Wschodnie złożył zamówienie na dwie Explory i odpowiednią ilość amunicji. Jedna z nich pojawiła się w Związku Radzieckim w 1980 roku i była zaoferowana do sprzedaży. George Eastman, twórca firmy Kodak, posługiwał się bronią marki Westley Richards w czasie swoich dwóch safari. Zresztą tak jak i jego przyjaciel i przewodnik, legendarny Philip Percival. Z „westleyami” polowali Denys Finch Hatton i baron Bror Blixen-Finecke, znani nam z „Pożegnania z Afryką”. Kolejna legendarna postać afrykańskiego zawodowego łowiectwa, James Sutherland, uważał ekspres Westleya Richardsa kaliber .577 z 750 grainowym pociskiem za najbardziej efektywną broń, podkreślając wielokrotnie absolutną niezawodność tej jednospustowej strzelby.

Doceniali dzieła Westleya Richardsa tej klasy zawodowi myśliwi co: J.A. Hunter, Pat Ayre, Donald Seth-Smith, major „Andy” Anderson, który posługiwał się bronią po Jamesie Sutherlandzie, oraz R.J. Cunningham, który przy współudziale F.C. Selousa organizował safari dla Theodore’a Roosevelta, podczas którego uratował go od stratowania przez szarżującego hipopotama.

Kończąc tę listę, nie sposób pominąć takich postaci historycznych jak: Lord Curzon, Winston Churchill czy pisarz Graham Greene, szkolny kolega Churchilla. Broń Westleya Richardsa bardzo cenili sobie koronowane głowy Imperium Brytyjskiego. Posługiwał się nią książę Yorku, późniejszy Król Jerzy VI. Królowa Elżbieta II używała jej w czasie swoich ulubionych polowań z podchodu na jelenie w Szkocji, w królewskiej posiadłości Balmoral. Książę Walii, późniejszy król Edward VIII, polował z tą bronią w Afryce i Indiach. Wcześniej używała jej na łowach królowa Wiktoria i jej małżonek książę Albert, którzy również byli wielkimi amatorami polowania z podchodu na szkockie jelenie. Ich syn książę Connaught i Edynburga, a późniejszy Król Edward VII, polował ze strzelbami Westleya Richardsa tak na grubego zwierza, jak i na pióro w Anglii i Szkocji, ale przede wszystkim używał ich w Indiach.

Rynek indyjski odegrał swoistą rolę w historii firmy, przyczyniając się do jej rozwoju i pomagając w czasach po II wojnie światowej. Tamtejsi maharadzowie byli wymagającymi, ale rozkochanymi w angielskiej broni klientami, no i mieli za co realizować swoje łowieckie i kolekcjonerskie zamiłowania. Westley Richards umiał doskonale spełnić ich oczekiwania. Broń z Indii ode-



grała niebagatelną rolę w życiu firmy. Były to wspólnie zdobione egzemplarze, często z emaliowanymi kolorowymi portretami ich właścicieli, umieszczonymi w kluczu otwierającym broń. Tamtejsi nabywcy bardzo upodobali sobie rozwiązanie konstrukcyjne Ovundo, przyczyniając się do jego rozwoju poprzez liczne zamówienia broni śrutowej i kulowej.

Obie wojny światowe to czas produkcji przede wszystkim na ich potrzeby. Okresy te przyniosły nowe rozwiązania w zakresie broni i amunicji, ale też maszyn i narzędzi do ich produkcji. Przez czas I wojny światowej przedsiębiorstwo szczęśliwie przeprowadził L.B. Taylor, ówczesny dyrektor generalny. Ten znakomity konstruktor i balystyk cały czas pracował nad swoimi rozwiązaniami dotyczącymi broni i amunicji. Ciekawostką jest to, że Krupp korzystał z wyników jego prac przy konstruowaniu osławionej „Grubej Berty”.

Konsekwencją wojen jest destrukcja krajów biorących w niej udział, a więc i ich gospodarek, co z kolei wpływa na kondycję poszczególnych gałęzi przemysłu, jak i możliwości finansowe oraz potrzeby obywateli, a przecież broń myśliwska nie była artykułem pierwszej potrzeby. Szczególnie boleśnie odczuła firma II wojnę światową. W 1946 roku została wystawiona na sprzedaż. Nabył ją płk „Ted” Barclay, który był lokalnym biznesmenem. Zapalony strzelec, myśliwy i wędkarz, którego pasje zaważyły na decyzji ratowa-



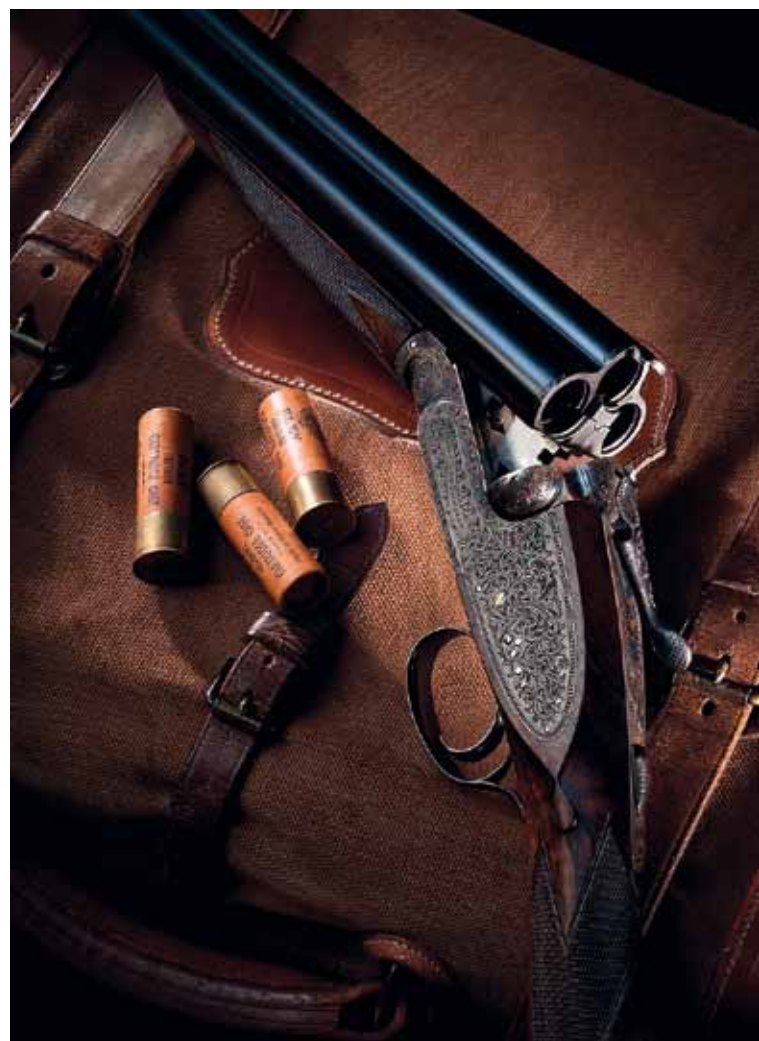
Sprzęt do wędkarstwa muchowego produkcji Westley Richards



Dwa rzadkie ekspresy typu Ovundo z wymiennymi zamkami wkalibrze .350 i .240

nia tej sławnej firmy. Pomagał mu w tym krewniak Harry Rogers. Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że z firmy w krótkim czasie po wojnie odeszli ludzie od lat, a nawet pokoleń, z nią związani: Dangerfield, wnuk Johana Deeleya starszego, twórcy zamka Ansona Deeleya, czy Charles Gardener. Próbowano wprowadzić na rynek nową linię ekspresów i sztucerów pod nazwą „White Hunter”. Firma, szukając nowych odbiorców, podjęła się prac nad elektrycznym harpunem dla norweskiego klienta. Bardzo ważną dla przedsiębiorstwa decyzją było uruchomienie w 1947 roku, równoległe do produkcji rusznikarskiej, wytwórni narzędzi precyzyjnych mającej zapewnić skuteczniejszą walkę o przetrwanie.

Od 1948 roku londyńskim przedstawicielstwem kierował Malcolm Lyell. Postać bardzo znana w powojennym brytyjskim biznesie związanym z bronią myśliwską. Był znakomitym znawcą wszelkich zagadnień związanych ze strzelectwem, polowaniem i bronią tam używaną. Pozwoliło to utrzymać wysoką pozycję przedstawicielstwa jako fachowego ośrod-





Ekspres kalibru .577 wykonany w 1913 roku dla angielskiego oficera kawalerii Stephena Christy, którego kolejnym właścicielem został pisarz noblista Ernest Hemingway i używał go na safari w latach 1953–1954

ka, wokół którego koncentrowało się życie strzelec-ko-łowieckie. Nowością był handel bronią używaną i kolekcjonerską różnych firm. Oczywiście sklep wymagał odbudowy ze zniszczeń wojennych. Jednocześnie, w ramach współpracy, prowadził działalność akwizycyjną dla W.J. Jeffrey & Co. oraz w zakresie sprzętu wędkarskiego dla Farlowsa – firmy stworzonej 170 lat wcześniej dla zaspokojenia potrzeb miłośników wędkarstwa. Należy przypomnieć, że Westley Richards był również producentem sprzętu wędkarskiego, w szczególności dla wędkarstwa muchowego – wspaniałych kołowrotków i wędzisk. Jest również właścicielem kilku patentów dotyczących aluminiowych wędzisk i kołowrotka Rolo Reel.

Pogrzeb króla Jerzego VI w 1952 roku i koronacja królowej Elżbiety II rok później były wydarzeniami, które ściągnęły do Londynu wiele osobistości z całego świata, a w tym wielu myśliwych. Klientem firmy został wówczas szach Iranu Ali Reza Pahlawi i król Jordanii Husajn. Z okazji koronacji Westley Richards wypuścił specjalną edycję broni opatrzonej oficjal-

nym emblematem koronacyjnym. Nie zdarzyło się do tej pory, aby egzemplarze te pojawiły się na rynku wtórnym.

W tym czasie wśród klientów firmy znalazły się również takie postaci, jak aktor „Jimmy” Stewart Granger czy pisarz noblista Ernest Hemingway. Z tym drugim wiążą się dwie ciekawostki. Otóż to on wprowadził do języka angielskiego, i tym samym do innych, słowo „safari”, adaptując je z języka swahili. Był też właścicielem strzelby .577 zbudowanej w 1913 roku dla Stephena Christy, którą nabył od swojego przyjaciela i kompana łowieckiego Winstona Guesta, amerykańskiego krewnego Winstona Churchilla i światowej renomy gracza w polo. Był też właścicielem jachtu „Pilar”. Żeglarze amerykańscy w ramach pomocy obywatelskiej wspomagali marynarkę wojenną w patrolowaniu wód pomiędzy Nowym Orleanem, Arubą i Wielką Brytanią w poszukiwaniu U-Bootów, które od czasu do czasu wynurzały się. Właśnie w takiej sytuacji pisarz zakładał użycie swojej 577-ki. Nigdy jednak do tego nie doszło. Użytkownikiem broni

Obok: strzelba śrutowa w kalibrze 12 wyprodukowana na Wystawę Światową w Turynie w 1911 roku. Jest to jedyny egzemplarz broni trzylufowej zbudowanej przez firmę Westley Richards



Strzelba kalibru 12 na długich zamkach, wykonana w 1981 roku dla uczczenia zaślubin Księcia Walii z Lady Dianą Spencer. Obok u góry detale tej strzelby. Obok poniżej i na następnej stronie strzelba w kalibrze 12 „Boutet Gun”, której grawerunki wykonali bracia A.M. i J.P. Brownowie. Jest to jedno z największych zamówień grawerskich w historii brytyjskiego rusznikarstwa

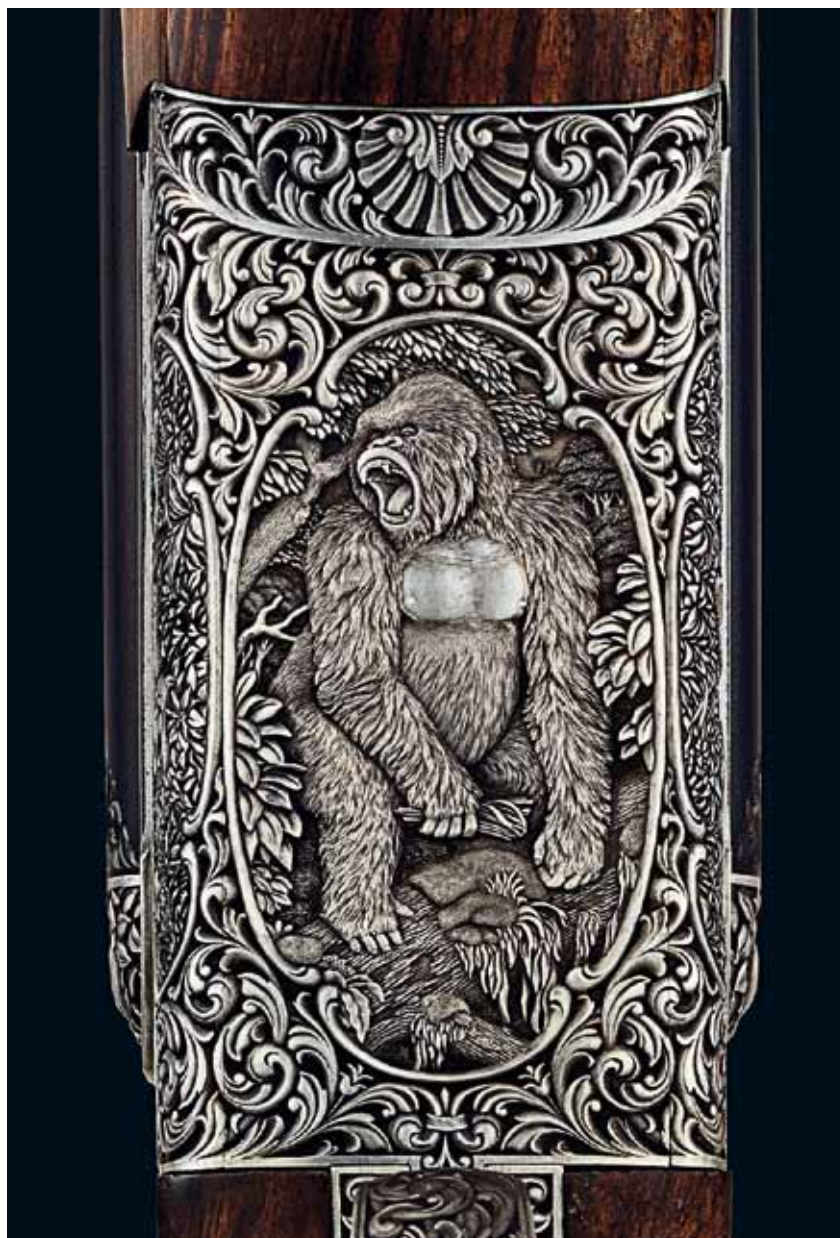
Westleya Richardsa był również inny światowej sławy pisarz amerykański Bob Ruark, u nas znany z książki „Róg myśliwego”.

Rokiem przełomowym dla Westleya Richardsa był rok 1957, kiedy pakiet większościowy firmy został zakupiony przez Waltera Clode’a. Wcześniej płk Barclay sprzedał londyńską agendę firmy Malcolmowi Lyellowi. Przedsiębiorstwo utraciło swój londyński przyczółek. W powojennych latach różne mariaże firm i inne ruchy mające na celu ich ratowanie były na porządku dziennym. Malcolm Lyell wy-

kupił również W.J. Jeffrey & Co. oraz Farlowa, a następnie w 1959 roku połączył się z firmą Holland & Holland. Westley Richards pozostał firmą rodzinną, zmieniając tylko Westley Richardsów na Clode’ów. W 1987 roku w działania firmy włącza się syn Waltera Clode’a – Simon Clode, który w 1994 roku zostaje jej właścicielem i dyrektorem zarządzającym. W 2005 roku w prace firmy włączyła się starsza córka Simona Karen. Wydaje się, że ma to duży wpływ na filozofię i sposób prowadzenia firmy, a zatem na jej wizerunek. Walter Clode, emerytowany oficer,







„Gorilla Gun”, ekspres w kalibrze .600 Nitro Express z wymiennymi zamkami i grawerunkami autorstwa braci A.M. i J.P. Brownów. Broń zamówił znany amerykański kolekcjoner Bill Feldstein dla upamiętnienia swojego zaangażowania w ochronę goryli w Afryce. Miała być sprzedana na aukcji, a pieniądze przeznaczone na powyższy cel

był jak każdy z właścicieli firmy pasjonatem strzelectwa, łowiectwa i broni myśliwskiej. Te zamiłowania były jego motorami napędowymi. Wielu przyjaciół i członków rodziny patrzyło na jego decyzję zakupu firmy z nieukrywanym sceptycyzmem. Dostrzegł on, być może częściowo inspirowany działaniami Malcolma Lyella, olbrzymi potencjał i szansę firmy na amerykańskim rynku broni kolekcjonerskiej. Szczególnie wspaniałych, niepowtarzalnych egzemplarzy z Indii. Tą też drogą zaczął odbudowywać pozycję przedsiębiorstwa.

Zachodzące po II wojnie światowej głębokie przeobrażenia polityczne pociągnęły za sobą zmiany statusu materialnego wielu ludzi, w tym także hinduskich maharadzów. Odkupowana tam broń była poddawana fachowej renowacji i oferowana amerykańskim odbiorcom. W stosunkowo krótkim czasie Walter Clode stał się wybitnym znawcą zagadnień rynku antykwarycznego broni. Człowiekiem instytucją, poważanym za głęboką wiedzę i wyjątkową rzetelność w prowadzonym biznesie. Na targach Las Vegas Antique Arms Show stał się osobistością branży.

Tak się zaczęła era broni kolekcjonerskiej dedykowanej, która trwa do dziś. Restauracja broni zwanej potocznie antyczną zaczęła schodzić na drugi plan. Produkowana jest również perfekcyjnie wykonana broń „bez frędzli”, jak ją nazywa syn Waltera Clode i jego następca Simon Clode’a. Są to egzemplarze bez bogatych zdobień, zamawiane głównie przez zawodowych myśliwych afrykańskich i miłośników polowań na grubego zwierza. Podkreślają oni jej legendarną niezawodność, od której często zależy ludzkie życie. Zwracają uwagę na wyjątkową staranność i estetykę wykonania.

Simon Clode rozwija dorobek ojca i tworzy nową wizję przedsiębiorstwa, którą można w skrócie nazwać „w pogoni za bronią doskonałą”. Obecnie Westley Richards produkuje zarówno broń śrutową, jak i kulową, a czas oczekiwania na realizację zamówienia wynosi nawet 2,5 roku. Po prostu solidna robota wymaga stosownego czasu, a broń jest robiona wyłącznie na indywidualne zamówienia. W 1995 roku wchodzi do produkcji nowy model ekspresu opartego na zamku Ansona i Deeleya. W 2004 nastąpił po-

„Nie proponujemy tańszego produktu, ale staramy się uzyskać uczciwą cenę za jakość naszej pracy”. [...] „Przez lata polityka nasza zasadzała się na robieniu rzeczy lepszych i coraz lepszych, a nie na opieraniu się na standardach”.

Simon Clode

To spowodowało zainteresowanie nowo produkowanymi egzemplarzami broni. Nie bez znaczenia był też urok osobisty, którym zjednywał sobie otoczenie, co w interesach jest rzeczą szczególnej wagi. Z olbrzymim szacunkiem dla swoich poprzedników oraz obecnie pracujących w firmie ludzi przejął ich dziedzictwo, stawiając firmę na mocnych nogach. Zaczęły powstawać egzemplarze kolekcjonerskie. Jednym z pierwszych była zbudowana w 1980 roku strzelba „Boutet Gun”, której grawerunki wykonali bracia A.M. i J.P. Brownowie. Zainspirowany tą bronią i obserwujący firmę znany amerykański kolekcjoner Bill Feldstein zamówił kolejny głośny w świecie znawców egzemplarz – „Gorilla Gun” Express w kalibrze .600 Nitro Express. Miała ona upamiętniać zaangażowanie Feldsteina w ochronę goryli w Afryce, a fundusze uzyskane z jej ewentualnej sprzedaży wspomóc je. W 1981 roku, na cześć ślubu Księcia Karola i Lady Diany Spencer, powstała strzelba kalibru 12 z grawerunkami autorstwa braci Brown. 1986 rok to rok wykonania kolejnego egzemplarza upamiętniającego ważne wydarzenie z życia społecznego Anglii, ślub Księcia Andrzeja z Sarą Ferguson.

wrót do w pełni autorskiego Ovundo. Filozofię firmy najlepiej charakteryzują słowa jej właściciela: „Chcę, aby ludzie do nas przychodzili, ponieważ poszukują broni wykonanej według naszych najlepszych umiejętności. Sprzedaż naszych produktów to nie jedynie transakcja handlowa, bowiem piękno broni robionej na zamówienie tkwi w tym, że tworzona dla kogoś indywidualnie jest podróżą, którą klient odbywa razem z nami”.

Ludzie zatrudnieni w tej firmie są całkowicie oddani swojej pracy, którą traktują jak misję, a nie jedynie zajęcie dające środki utrzymania. Wszyscy znają tajniki strzelectwa, sporo jest aktywnymi myśliwymi, co pozwala im znacznie lepiej zrozumieć potrzeby klientów. Wielu z nich pracuje tu od wielu lat, czasami całe życie. Tajniki zawodu przechodzą nieraz w rodzinie na kolejne pokolenia. Starzy fachowcy jak Ken Halbert, Keith Haynes, Mark French, Peter Stanton, Chris Egginton, Mike Hill, Keith Tomas, Chris Soyza czy Steven Harridence wychowują nowe pokolenia zdobywające tu rusznikarskie ostrogi. Kilka lat temu uruchomiono specjalny program praktykancki. Dość wspomnieć Olivera Greenera będącego siódmym



Para strzelb Westley Richards w kalibrze 20 z grawerunkami Shauna Banksa. W tle rysunek, którym inspirował się artysta-grawer





Powyżej z lewej: para strzelb kalibru .410 z wymiennymi zamkami i grawerunkami Vince'a Crowleya. Broń wykonana w 2007 roku. Obok niej para strzelb kalibru 20 z grawerunkami tego samego autora wykonana w 2005 roku

Po prawej: strzelba kalibru .410 z wymiennymi zamkami i grawerunkami Alana Browna



Na sąsiedniej stronie u góry: rysunki i elementy grawerunków według nich wykonanych autorstwa Rashida El Hadiego. Na sąsiedniej stronie po lewej: ekspres kalibru .470 wykonany zgodnie z tymi rysunkami w 2011 roku. Na sąsiedniej stronie po prawej: ekspres kalibru .500 z wymiennymi zamkami i grawerunkami Bradleya Talleta, natomiast zebry z wielokolorowego złota grawerował Rashid El Hadi





Para strzelb Westley Richards kalibru 16 z wymiennymi zamkami i grawerunkami Frederique Lepinois



Strzelby kalibru .410 i 28 z serii broni związanej z 200-leciem firmy i panelami grawerowanymi przez Petera Spode'a i Shauna Banksa



Baskile długich zamków kalibru 20 z grawerunkami Paula Chunga



Sztucery systemu Farquharsona w kalibrach .600 Nitro Express, Westley Richards .577 Nitro Express i Westley Richards .450 Nitro Express

Obok: trzy strzelby jednospustrzowe Westley Richards w kalibrze 20 z grawerunkami Floriana Gullerta







pokoleniem Greenerów w angielskim rusznikarstwie. Nam nazwisko Greener kojarzy się przede wszystkim z szyną Greenera, dość powszechną w broni przez nas używanej, ale jest też synonimem wspaniałej firmy założonej przez jego pra-pra-...pradziadka. Ci młodzi ludzie są nie tylko Anglikami. Wielu z nich pochodzi ze znanych europejskich rodów rusznikarskich. Wszyscy są strzelcami i prawie wszyscy polują. Ten system praktyk daje z jednej strony jego adeptom możliwość zdobycia bardzo wysokich kwalifikacji, a z drugiej pozwala na zachowanie starego znakomitego rzemiosła dla potomnych. To również jedna z wielkości firmy Westley Richards.

O ostatecznym charakterze broni często decydują ozdoby ją grawerunki, mówiące wiele o osobowości właściciela lub jej genezie. Dla firmy pracują tacy mistrzowie o międzynarodowej renomie jak Paul Lantuch, Vince Crowley, Peter Spode, Rashid El Hadi, David i Bradley Talletowie, Shaun Banks, John Barret, Frederique Lepinois czy Florian Gullert. Obok znakomicie prosperującej produkcji rusznikarskiej funkcjonuje Westley Engineering Ltd. produkująca najwyższej klasy wyroby metalowe. Produkcję rusznikarską wspomagają również najnowocześniejsze obrabiarki CNC i programy komputerowe, ale nie są w stanie zastąpić ręki i oka człowieka, które temu wydawałoby się już doskonałemu produktowi nadają najwyższą jakość. Dzieło takie zaspokaja wymagania nie tylko kolekcjonerów, ale również, a może przede wszystkim, wymagania zawodowych myśliwych, których urzeka swoim pięknem i przekonuje doskonałością wykonania.

W 2008 roku firma powróciła z Bournbrook do Birmingham na 130 Pritchett Street do starej galwanizerni. Budynek został z wielkim gustem przystosowany zarówno do potrzeb tak produkcyjnych, jak i wizerunkowych. Atmosfera pełna tradycji i historii wielkich łowów z dyskretną nutą czasów współczesnych towarzyszy klientom na każdym kroku. Widać tu rękę najstarszej córki Simona – Karen.

Filozofia zawarta w przesłaniu o poszukiwaniu broni najdoskonalszej z możliwych, będąca rozwinięciem motto założyciela firmy Williama Westleya Richardsa „to be the maker of as good a gun as can be made” (być producentem najlepszej broni, jaką możemy wytworzyć), znajduje swoje odbicie w innych ruchach organizacyjnych. Każda broń potrzebuje opakowania, a wyjątkowa wyjątkowego. Dlatego istnieje tu warsztat kaletniczy produkujący już same w sobie

wspaniałe skrzynki na broń. Cały asortyment skórzanego ekwipunku myśliwskiego często przywracany jest z bytu historycznego do rzeczywistości. Odtwarzając rzeczy prawie już zapomniane, pielęgnuje się tym samym stare tradycje i kulturę łowiecką.

W 2014 roku Westley Richards nabywa firmę Teague Precision Chokes (jej założyciel był niegdyś naczelnym inżynierem Rolls-Royce’a) – firmę malutką, ale produkującą jedne z najlepszych czoków na świecie. I tak powstało, można powiedzieć, małe imperium, nie tylko zachowujące najlepsze tradycje i osiągnięcia rzemiosła rusznikarskiego, ale zapewniające mu dalszy pomyślny rozwój, łącząc tradycję i sztukę ręcznej pracy z najnowocześniejszymi osiągnięciami techniki i technologii XXI wieku.

Jak już wspominałem, podstawą sukcesu oprócz idei są ludzie, należy więc wspomnieć tu o Anthony Alborough-Tregearze znanym pod pseudonimem „Trigger”, czyli „cyngiel”. Anthony jest wybitnym znawcą strzelectwa i wszystkiego, co może kojarzyć się z bronią, jednak przede wszystkim jest myśliwym o międzynarodowej reputacji. Człowiekiem niezwykle otwartym, zawsze służącym swoją ogromną wiedzą i doświadczeniem tak klientom, jak i innym myśliwym.

Na stronie internetowej firmy znajdujemy unikatowy blog. Poruszane tu tematy dotyczą naturalnie produktów Westleya Richardsa, ale oprócz tego znajdujemy mnóstwo informacji dotyczących łowów, kultury łowieckiej i podejmowanych w świecie inicjatyw związanych z ochroną zwierzyny, w szczególności przez myśliwych. Są tu także artykuły prasowe i dyskusje wpływające często na globalny wizerunek myślistwa.

Dorobek firmy znajduje również swoje odbicie zarówno w pieczołowicie przechowywanych od początku księgach zamówień, jak i w licznych nagrodach i gwarancjach królewskich. Aktualne najznakomitsze trzy realizacje to India Rifle, Africa Rifle i Lion Rifle. Trzy kolekcjonerskie projekty, których grawerunki wykonał jeden z najwybitniejszych artystów naszych czasów Paul Lantuch. Jest tu też wątek polski, ale o tym wszystkim już w kolejnym artykule.

Wizja rodziny Clodeów została nie tylko zrealizowana, ale wszystko wskazuje na jej dalszy pomyślny rozwój.

Autor artykułu składa podziękowania panu Anthony Alborough-Tregearowi za pomoc w przygotowaniu materiału.

Na stronach poprzednich po lewej: ekspres firmy Westley Richards kalibru .600 Nitro Express z wymiennymi zamkami i grawerunkami braci A.M. i J.P. Brownów. Po prawej strzelba kalibru 12 firmy Westley Richards z grawerunkami Paula Lantucha

Obok: wybrane strzelby firmy Westley Richards z wyjątkowej jakości aranżacjami i grawerunkami autorstwa Paula Lantucha

WETLANDY

Tereny podmokłe i ich znaczenie dla przyrody i środowiska

Tekst i zdjęcia: prof. dr hab. Dariusz Tarnawski

Jakie jest znaczenie terenów podmokłych dla zachowania przyrody w jak najmniej zmienionym stanie wiedzą najlepiej myśliwi, szczególnie ci polujący na ptactwo wodno-błotne. Odpowiednio duża sieć takich miejsc sprzyja rozwojowi populacji wielu gatunków zwierząt, ale nie tylko.

Obszary takie obejmują przeróżne tereny podmokłe (tzw. wetlandy), począwszy od wilgotnych łąk (fot. 1, 2), poprzez tereny zalewowe (fot. 3) po torfowiska,

więc jej zapas ważny szczególnie w okresach suszy i gazowa (CO_2 , metan), dostarczanie wody słodkiej, rola w krążeniu biogenów, oczyszczanie wody (szczególnie z substancji biogenych – azotu, fosforu oraz toksyn), środowisko życia wielu organizmów, refugia dla wielu gatunków, produkcja żywności i surowców, rekreacja oraz wartości estetyczne.

By przeciwdziałać negatywnemu wpływowi rolnictwa na wody powierzchniowe i zapobiec dalszemu



stanowiąc ogniwo pośrednie pomiędzy zbiornikami i terenami lądowymi. Po lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku takie tereny były uważane za nieużytki (fot. 4) wymagające na ogół odwodnienia i zagospodarowania. Takie podejście, niezmiennie od kilku stuleci, doprowadziło do tego, że na świecie do roku 1950 ponad połowa mokradel i wilgotnych łąk została zniszczona, osuszona lub zagospodarowana; zamieniono je w pola uprawne, pastwiska lub zabudowano. Stwierdzono, że jeśli na jakimś dużym obszarze zniszczeniu uległo ponad 80% terenów podmokłych, to nasilają się procesy eutrofizacji (przeżyźnienia) wód powierzchniowych i bardzo wzrasta niebezpieczeństwo powodzi.

Wetlandy pełnią wiele bardzo ważnych funkcji: regulacja przepływu wody (redukcja zagrożenia powodziowego, magazynowanie nadmiaru wody, stano-



niszczeniu terenów podmokłych, należy odtwarzać je i rekultywować zniszczenia, jak i budować nowe. To właśnie one mogą odwrócić negatywne skutki produkcji rolnej. Należy sobie uświadomić, że nie wszystkie tereny podmokłe spełniają te same funkcje. Obszarowo duże przyczyniają się do zwiększenia liczebności różnych gatunków zwierząt, szczególnie ptaków, w dole rzek mogą być też regulowane, podobnie jak zbiorniki zaporowe, by redukowały powódzie i magazynowały wodę; małe stanowią najczęściej schronienie dla rzadkich gatunków roślin i drobnych zwierząt, w górnym biegu rzek mogą zmniejszyć i opóźnić powódź oraz wyłapują z wody niewielkie ilości substancji biogenych; w dole rzek wychwytyują do 80% napływających nutrientów.

Ze względu na specyficzne warunki ekologiczne, a zwłaszcza stosunki wodne, tereny te pełnią rolę lokalnej ostoi bioróżnorodności. Jej zachowanie wymaga zarówno utrzymania wysokiego poziomu wody gruntowej, jak i zupełnego zaniechania przeprowadzania okresowych zabiegów melioracyjnych (oczyszczenia i pogłębiania rowów melioracyjnych i koryt rzek).



W wielu naszych obwodach łowieckich są tereny podmokłe, które potrzebują szerszego zainteresowania i działań w ramach czynnej ochrony przyrody. Podniesienie poziomu wody na takich obszarach przyczyni się do znacznego zmniejszenia zagrożenia pożarowego w okolicznych lasach i zwiększy ochronę przeciwpowodziową. Przedsięwzięcia takie łączą dwa pozornie przeciwstawne cele – ochrony przyrody i zwiększenia bezpieczeństwa. Wprowadzenie tej metody w życie wymaga ochrony i odtworzenia mokradeł, odsuwania wałów od rzek, tworzenia suchych zbiorników, renaturyzacji zniszczonych cieków wodnych (fot. 5) i bagien (fot. 6), wprowadzenia odpowiedniej gospodarki rolnej oraz zróżnicowania krajobrazu.

Tereny zalewowe są szczególnie istotne nie tylko dla zachowania wartości przyrodniczych i ochrony przed powodziami. Dzięki ich zdolności retencyjnej możliwe jest zatrzymanie wody na okres suszy. Są ostoją zwierzyny, a ryby i płazy znajdują tu odpowiednie miejsca do rozmnażania się. Woda na tych terenach ulega naturalnemu oczyszczaniu. Zdrowsze środowisko oraz bogata w walory turystyczne i krajobrazowe okolica umożliwiają rozwijanie coraz



modniejszej agroturystyki i stwarzają odpowiednie warunki dla rekreacji i edukacji przyrodniczej. Dzięki promocji takich terenów korzystają społeczności lokalne. Obszary zalewowe nie muszą być wyłączone z użytkowania, można tu prowadzić gospodarkę rolną lub leśną oraz łowiecką.

Istnienie takiego, silnie zintegrowanego systemu, pozwala utrzymać równowagę między potrzebami przyrody i rozwoju społeczno-gospodarczego. Wymaga to przyjęcia odpowiednich priorytetów w planowaniu przestrzennym, przy zaangażowaniu społeczności lokalnych (w tym myśliwych) i władz samorządowych.

POSOKOWCE

psy do zadań specjalnych

Tekst: Wojciech Galwas

Zdjęcia: Andrzej Filipiak, Wojciech Galwas, Miroslav Gora

...wielka to satysfakcja dochodzić skromnego postrzałka, by możliwie szybko skrócić mu cierpienia. Poczuć przy tym napięcie otoku, że pies właśnie trafił na prawdziwy trop, przeżyć chwilę niepewności podczas gonu, cały zamieniając się w słuch, by wreszcie w brzmieniu psiego grania usłyszeć ten szczególny ton mówiący, że zwierzę jest osaczony. Twierdzę, że to najwyższej rangi trofeum, wyższe niż strzelony z wygodnej ambony stary ósmak. Takie trofeum rodzi się bowiem z poczucia dobrze spełnionej służby dla łowiectwa i ze świadomości, że przelamało się samego siebie. Takiego trofeum nie zawieszają jednak na ścianie.

Ks. Benedykt Gierszewski

Poszukiwanie rannej zwierzyny to praca bardzo odpowiedzialna i jedna z najtrudniejszych w psim rzemiośle. Przy całej doskonałości broni i optyki myśliwskiej pozostaje jeszcze sporo czynników powodujących złe ułożenie pocisku, skutkujące zranieniem i ucieczką zwierzyny, a nie jej szybką

śmiercią. Różne źródła szacują, że od 10% do 20% zwierzyny, do której oddawany jest strzał, uchodzi ranna i konieczne się staje jej dochodzenie.

Również wiele sztuk zwierzyny zostaje zranionych w wyniku kolizji komunikacyjnych i nie zostaje odnalezionych. Także wśród części myśliwych utrzy-



muje się przekonanie, że jeżeli zwierzyna nie padła w ogniu, a w rejonie zestrzału nie ma farby, to uszła zdrowa i nie ma potrzeby jej poszukiwania. Fakty przeczą tym mitom! Znaczna część trafionej zwierzyny zaczyna farbować dopiero w pewnej odległości od zestrzału i jest nie da się do niej dojść bez pomocy wyspecjalizowanych psów. Tak więc rola przewodnika z dobrze ułożonym tropowcem staje się nie do przecenienia. Z jednej strony duże znaczenie ma aspekt ekonomiczny w postaci setek ton dziczyzny, uratowanych dzięki pracy tropowców, co przekłada się bezpośrednio na finanse kół łowieckich i stopień realizacji planów pozyskania. Z drugiej zaś, tej najważniejszej, jest ETYKA MYŚLIWEGO!!!

Zgodnie z regulaminem polowań: „myśliwy powinien poszukiwać, dochodzić i uśmiercić ranną zwierzynę możliwie szybko i w sposób oszczędzający jej niepotrzebnych cierpień”.

Ten sam regulamin ustala że: „polowanie na zwierzynę grubą może odbywać się pod warunkiem zapewnienia w poszukiwaniach postrzałka udziału ułożonego w tym celu psa”. Regulamin nie określa przy tym, że dotyczy to tylko polowania zbiorowego. Tak więc również myśliwy wykonujący polowanie indywidualne na zwierzynę grubą powinien mieć możliwość zapewnienia sobie w dochodzeniu postrzałka udziału ułożonego do poszukiwań psa. Taki sam obowiązek spoczywa na organizatorze polowania zbiorowego na taką zwierzynę.

Specjalistami w poszukiwaniu rannej zwierzyny grubej są posokowce. Jest to nazwa ras psów pracujących jako tropowce, są nimi:

- posokowiec bawarski (Bayerischer Gebirgsschweißhund),
- posokowiec hanowerski (HannoverscherSchweißhund),
- alpejski gończy krótkonożny (Alpenländische-Dachsbracke).

Tylko w stosunku do tych trzech ras możemy używać nazwy posokowce, chociaż Internationaler Schweißhundverband – ISHV (Międzynarodowy Związek Posokowców) zalicza do nich jedynie posokowce bawarskie i hanowerskie.

Przyjęta nazwa nie najlepiej odzwierciedla charakter ich pracy tych psów. Często zdarza się, że pracują one po tropie, na którym z różnych przyczyn nie ma widocznej okiem farby, ale też w tych przypadkach są one zobligowane do znalezienia postrzałka. Podobnie jak w Polsce nazwa posokowiec pochodzi od posoki (farby, krwi), tak i w kraju pochodzenia rasy, w Niemczech, ich nazwa – Schweißhund pochodzi od słowa Schweiß, czyli gwarowego określenia farby (krwi).

Nie wymyślono jeszcze nic lepszego do poszukiwania postrzałków niż posokowce. Kilka setek lat trwało,



zanim z psów gończych wyselekcjonowano te, które charakteryzowały się doskonałym węchem, dokładnym trzymaniem tropu i mogły pracować samodzielnie. Selekcja posokowców doprowadziła ostatecznie do ukształtowania się dwóch ras. Cięższemu z posokowców nadano nazwę hanowerski. Miłośnicy tej rasy założyli w 1894 roku działający do dzisiaj klub Verein Hirschmann. W tym samym mniej więcej okresie w terenach górskich Alp został wyselekcjonowany lżejszy typ posokowca, nazwany górkim posokowcem bawarskim. W 1912 roku w Monachium powstał Klub für Bayerische Gebirgsschweißhunde, który jest w Niemczech jedynym akredytowanym klubem tej rasy.

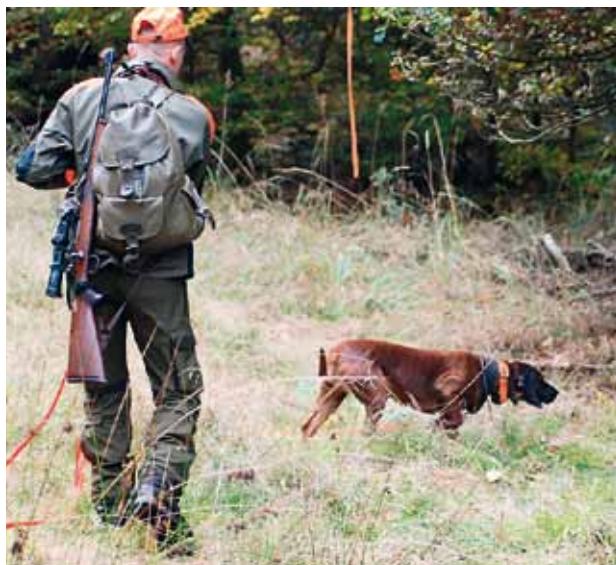
Posokowiec hanowerski, wyższy i cięższy od bawarskiego, proporcjonalnie zbudowany, sprawia wrażenie psa pełnej siły. Szlachetna głowa, z mocną, głęboką i szeroką kufą, opadającymi wargami, lekko pofałdowanym czołem i ciemnymi oczami, nadają posokowcom hanowerskim typowego, historycznego wyrazu spokoju i powagi. Początkowo posokowce hanowerskie używane były jedynie do pracy na nizinach przy poszukiwaniu martwych postrzałków jeleni. Obecnie używa się ich również do poszukiwania danieli, muflonów i dzików, także w trudniejszych warunkach terenowych. Pamiętać musimy jednak o tym, że dysponując doskonałym węchem i dużą

siłą, są one mniej zwrotne i szybkie niż posokowce bawarskie. Z tego też względu są bardziej narażone na kontuzje, szczególnie w czasie stanowienia dzika i w trudnym, mocno zakrzaczonym terenie.

Posokowiec bawarski to pies średniej wielkości, o bardzo harmonijnej budowie, elegancki w wyrazie. Spokojny i zrównoważony, łagodny w stosunku do ludzi i innych zwierząt. Jego charakter zmienia się w czasie pracy w łowisku. Jest dokładny po tropie, wytrzymały w gonie, silny i zwrotny, nieustępliwy w stanowieniu. Potrafi bronić znalezionej postrzałki przed ludźmi i innymi psami. Używać go można do poszukiwania wszystkich gatunków zwierzyny grubej.

Wysiętek, na jaki muszą się zdobyć tropowce przy poszukiwaniu postrzałków zwierzyny grubej, jest najbardziej odpowiedzialnym rodzajem pracy, jaką wykonują psy myśliwskie. Nic strasznego się nie stanie, jeżeli dzikarz nie wypchnie dzika na myśliwego, legawiec nie wystawi kuropatwy lub bażanta, norowiec nie wypchnie lisa z nory czy płochacz nie wypłoszy zwierzyny. Co najwyżej ominie nas możliwość strzału, a zwierzyna ujdzie cała i zdrowa. Jeżeli jednak tropowiec nie odnajdzie zranionego jelenia, dzika, daniela, muflona czy sarny, to myśliwemu zostanie niesmak po źle oddanym strzale, a ranna zwierzyna będzie się tygodniami kurować lub padnie z powodu odniesionych ran. Z kolei nie ma chyba większej satysfakcji niż kiedy nasz tropowiec, po wielu kilometrach ciężkiej pracy węchowej, po głośnym gonie i po twardym stanowieniu umożliwi nam oddanie strzału łaski.

Przed II wojną światową mamy tylko nieliczne wzmianki o tych psach na ziemiach polskich. Posokowce hanowerskie występowały na Kaszubach, posokowca posiadał również prezydent Ignacy Mościcki. Po wojnie Zarząd Lasów Państwowych otrzymał 10 posokowców hanowerskich z Niemiec.



Podwaliny pod rozwój hodowli posokowców w Polsce położył Benedykt Gierszewski – proboszcz parafii w Swornychgaciach, kaszubskiej wsi w Borach Tucholskich. Jego pasjami życia, prócz kapłaństwa, było żeglarstwo, taternictwo, łowiectwo i hodowla posokowców. Po odbyciu szkolenia w Niemczech sprowadził do Polski posokowce hanowerskie z niemieckiego klubu Verein Hirschmann. Istotną rolę we wprowadzeniu posokowców bawarskich do polskich łowisk odegrała współpraca z naszymi południowymi sąsiadami, ówczesną Czechosłowacją, a później Czechami i Słowacją, skąd jako jeden z pierwszych sprowadzał posokowce Jan Kierznowski.

B. Gierszewski starał się skupić hodowców i właścicieli posokowców w jednej organizacji. Od lat 80. XX wieku działał w ramach Związku Kynologicznego w Polsce – Klub Posokowca. W 1997 roku po spełnieniu wymogów Klub Posokowca zostaje członkiem zwyczajnym Międzynarodowego Związku Posokowców – ISHV. Kiedy w 2003 roku zaistniała w Polsce możliwość tworzenia wybieralnych klubów ras, Klub Posokowca skorzystał z tej możliwości, przyjmując nazwę Klub Posokowca – Członek ISHV. Na prezesa wybrano Benedykta Gierszewskiego. Po śmierci księdza Benedykta prezesem został Jan Kierznowski, jeden z pionierów popularyzacji posokowca w Polsce. Dla uczczenia pamięci ks. B. Gierszewskiego Klub Posokowca organizuje corocznie memoriał jego imienia, czyli ocenę pracy krajowych i zagranicznych posokowców w naturalnym łowisku.

Klub jest reprezentantem ZKwP w ISHV w zakresie użytkowości posokowca hanowerskiego i bawarskiego. Celem klubu jest pielęgnowanie i rozwijanie, zgodnie z etyką łowiecką i zasadami ochrony przyrody, poszukiwania i dochodzenia rannej zwierzyny poprzez fachowe prowadzenie posokowca hanowerskiego i bawarskiego. Celem jest również



hodowla obu ras według standardów FCI, mając na uwadze hodowlę użytkową dla praktyki łowieckiej.

Pracami Klubu kieruje zarząd wybierany przez członków na walnym zgromadzeniu, na trzyletnią kadencję. Obecnie przewodniczącym Klubu jest Wojciech Galwas.

Klub Posokowca stawia przed swoimi członkami o wiele większe wymagania niż ZKwP. Klubowe posokowce, oprócz ocen wystawowych, posiadają prześwietlenie w kierunku dysplazji stawów biodrowych, dyplom z konkursu posokowców na sztucznym tropie, dyplom z poszukiwania postrzałków w naturalnym łowisku.

Członkowie Klubu wraz ze swoimi posokowcami wygrywają większość krajowych konkursów, reprezentują również Polskę na zagranicznych konkursach na tropach naturalnego postrzałka. Na co dzień wykonują żmudną pracę w łowiskach, odnajdując setki postrzałków, które bez pomocy posokowców byłyby bezpowrotnie stracone. Przewodnicy ze swoimi posokowcami zabezpieczają również polowania zbiorowe, służąc swoją wiedzą i doświadczeniem w naprawianiu błędów popełnionych przez niefortunnych strzelców.

Uroda posokowców, szczególnie bawarskich, doprowadziła do tego, że w Polsce większość z nich znalazła się w rękach osób nie polujących i nie zajmujących się dochodzeniem postrzałków. Trafiły na kanapy, zatracając swoje wypracowane przez wieki predyspozycje. Decydując się na zakup szczeniaka posokowca, trzeba zachować dużą rozwagę w wyborze hodowli i przodków naszego pieska. Można się rozczarować, kiedy wymarzony pies, pomimo wielu wysiłków z naszej strony, nie wykaże cech psa tropiącego. Klub Posokowca służy radą i pomocą osobom chcącym nabyć posokowce. Organizuje coroczne warsztaty dla przewodników posokowców, na których uczymy się, w jaki sposób przygotować posokowca do pracy w łowiskach. Dzielimy się tam swoją wiedzą i doświadczeniem.

Wydajemy biuletyn klubowy zawierający szereg informacji o Klubie i działaniach członków. Bierzymy udział w zjazdach ISHV i konkursach zagranicznych. Obsługujemy setki polowań zbiorowych i tysiące indywidualnych. Odnajdujemy dziesiątki ton zwierzyny. Posiadanie w kole łowieckim dobrze ułożonego posokowca to skarb nie do przecenienia.

Nie każdy myśliwy powinien mieć posokowca, ale każdy etyczny myśliwy winien utrzymywać kontakt z przewodnikiem tego psa.





Przyroda światłem malowana

Tekst i zdjęcia: Krzysztof Bandarek

Najpiękniejsze jest to, że ilu ludzi, tyle pomysłów na fotografowanie. Mogą się zebrać trzy osoby w tym samym miejscu, o tej samej porze i jestem przekonany, że powstaną trzy różne dzieła. Chciałbym, aby ten tekst był inspiracją, a nie instrukcją wykonania poprawnego zdjęcia. Dzielę się więc moim podejściem do fotografii i zasadami, które należałoby wprowadzić i stosować.

W fotografowaniu przyrody najpiękniejsze dla mnie nie jest nawet samo zdjęcie, ale czas spędzony w lesie, te wszystkie dźwięki, zapachy, nieprzewidywalne sytuacje. Nie każde wyjście z aparatem do lasu – tak samo jak dla myśliwego – kończy się sukcesem. Pamiętam mnóstwo zdjęć niezrobionych z różnych powodów: niewłaściwy obiekt, brak statywu, odpowiedniego światła czy... brak aparatu, ale to mnie jedynie motywuje do kolejnych wypraw, mimo że nie zawsze chce się wstać o trzeciej rano. Porównałem fotografię przyrodniczą do myślistwa – są to też łowy, choć bezkrwawe. Obowiązują tu

pewne zasady, stosowanie których wymusza na nas prawo, jak również np. regulaminy konkursów. Myślę, że dla każdego zrozumiała jest podstawowa zasada: „nie szkodzić”. Fotografia ptasia, tzw. przygniazdowa, jest prawnie zabroniona i jury każdego konkursu takie zdjęcia dyskwalifikuje. Fotografowanie gatunków z tzw. Czerwonej Księgi wymaga pozwolenia Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody itp. Oczywiście nie należy popadać w przesadę i sfotografowanie bociana białego na gnieździe nie będzie wykroczeniem. Przy dzisiejszych teleobiektywach możemy większość gatunków uwiecznić z odległości dla ptaków bezpiecznej, niepowodującej niepokojenia ich.

Każdy sam powinien sobie odpowiedzieć na pytanie, co znaczy: „nie szkodzić”. Dla przykładu: kiedyś, wędrując wczesną wiosną po torfowisku w Borach Dolnośląskich, zupełnie przypadkiem odkryłem gniazdo żurawia. Wysiadująca samica (lub samiec) powoli się wycofała na bezpieczną odległość, pozostawiając dwa jaja. Temperatura była około zera, po chwili pojawił się jakiś kruk, więc jedyne, co mi pozostało, to w miarę szybko odejść i z zadowoleniem obserwować, jak samica wraca do gniazda. Dłuższa nieobecność rodziców może doprowadzić do wyziębienia jaj oraz daje możliwość wypatrzenia i zniszczenia gniazda przez drapieżniki. Zachęcam przed wyruszeniem na fotograficzne łowy, aby trochę poczytać o interesującym nas gatunku, porozmawiać z leśnikami, myśliwymi, okolicznymi mieszkańcami – ta wiedza pomoże nam zaoszczędzić dużo czasu.

Metody fotografowania są bardzo różne, najtrudniejsza chyba jest z podchodu. Przy fotografowaniu ssaków oprócz maskowania kształtu człowieka, powolnym poruszaniu oraz wykorzystywaniu osłon należy pamiętać o zapachu i maskować go (są różnego rodzaju środki w sklepach dla myśliwych) i podchodzić do zwierzyny od zawiętrznej. Ptaki reagują głównie na ruch i kształt, ale bardziej boją się człowieka niż np. samochodu, podobnie ssaki. Jedną z metod jest fotografowanie z wolno poruszającego się pojazdu, w ten sposób jesteśmy często w stanie znaleźć się dużo bliżej, nie wolno się jednak zatrzymać, gdyż po-



woduje to natychmiastową ucieczkę obiektu. Bardzo efektywną metodą jest budowanie różnego rodzaju czatowni i ukryć w miejscach żerowania, wodopojach czy ścieżkach wędrówek. Ważne, aby czatownia była dobrze wkomponowana w krajobraz, zaleca się, aby ukrycie rozbudowywać etapami, nim ptaki zdążą się przyzwyczaić. Często stosowaną praktyką jest wkładanie w otwór, gdzie będzie się znajdował obiekt, atrapy – np. szklanej butelki. Takie ukrycia w miejscu np. żerowania ptaków wodno-błotnych buduje się na niskich platformach, skąd robimy zdjęcia na leżąco lub – gdy warunki na to pozwalają – możemy wykopać dół, z którego będziemy mogli pracować na siedząco. Ważne jest, aby obiekt był jak najniżej, tuż nad lustrem wody, by mieć właściwą perspektywę i celować z poziomu naszego obiektu.

Najlepszą porą roku na fotografowanie ptaków wodno-błotnych jest wiosna i jesień (tokowiska, lęgi, przeloty), a odpowiedni czas to świt i zmierzch ze względu na najlepsze światło i aktywność ptaków. Pamiętajmy, aby do przygotowanego ukrycia dotrzeć na długo przed świtem, a opuszczać je po zachodzie słońca lub w okresie najmniejszej aktywności ptaków, starając się to robić jak najspokojniej. Czasami, jeżeli musimy wejść do ukrycia o innej porze, np. przed zmierzchem, starajmy się, aby ktoś nas tam przyprowadził, a później się oddalił, ptaki uznają wtedy, że zagrożenie minęło.

Doskonałą metodą jest fotografowanie ptaków przy karmnikach i ńciskach, zwłaszcza w okresie zimowym. Jest to szczególnie dobry sposób na sikory, łuszczaki, dzięcioły, a także ptaki drapieżne.



O ile w przypadku drobnych ptaków wysypanie mieszanki, a np. dzięciołów wysmarowanie szczelin kory w drzewach słoniną (surową) załatwia sprawę, to gdy chodzi o ptaki drapieżne, musimy się postarać o padlinę, ryby itp., a o to jest już trochę trudniej. Oczywiście należy tu wspomnieć, że znaczna część fotografów uważa fotografię „padlinową” za nieetyczną. Nie mnie osądzać – taka metoda jest powszechnie stosowana. Jeżeli wolno dokarmiać ptaki, to jest to forma dożywiania. Pamiętajmy jednak, aby karma dla ptaków była właściwa – chleb nie jest najlepszym artykułem, gdyż zawiera sól; najlepsze są gotowe mieszanki nasion, które można nabyć w sklepach dla zwierzaków. Ważne jest, szczególnie podczas ostrych zim, aby rozpoczętego procesu dokarmiania w danym miejscu nie przerywać. Ptaki się przyzwyczajają i czasami pokonują znaczne odległości do karmnika;





może im nie starczyć sił na szukanie nowego. Podczas mroźnych zim utrudniony jest również dostęp do wody, która zamarza. Oczywiście dokarmianie powoduje gromadzenie się ptaków w jednym miejscu, co przyciąga drapieżniki. Jest takie powiedzenie, że każdy karmnik ma swojego krogulca.

Żywiolowy rozwój techniki cyfrowej w ostatnich latach sprawił, że fotografia przyrodnicza jest dużo przyjemniejsza i bardziej dostępna. Współczesne aparaty mają bardzo zaawansowane algorytmy pomiaru światła, balansu bieli, wysoką czułość matryc, pozwalającą na pracę w słabszych warunkach oświetleniowych. Technologia HDR pozwala na fotografowanie bardzo kontrastowych scen, co wcześniej było niemożliwe. Możliwość zapisywania plików RAW (tzw. cyfrowy negatyw) pozwala na późniejszą obróbkę zdjęć w programach graficznych, uzyskując znacznie lepsze wyniki niż w przypadku plików JPG. Wreszcie stosowana optyka, teleobiektywy są bardziej dostępne i mają znakomite parametry, stabilizację obrazu, dużą jasność. Pozwala to na wykonywanie zdjęć przy w pełni otwartej przysłonie, np. 2,8, co zmniejsza głębię ostrości, znakomicie rozmywa tło i eksponuje obiekt. Należy pamiętać o dobrym statywie – im dłuższa ogniskowa, tym solidniejsza podstawa i krótszy czas naświetlenia. Fotografując z pozycji leżącej, można zastosować jako podstawę woreczek z piaskiem lub grochem; znakomicie się sprawdza.

Oczywiście nawet najlepsze aparaty nie robią zdjęć same, tworzą je ludzie, którzy spędzają niezwykle dużo czasu w terenie. Nie jest to przesada, trzeba mieć szczęście, aby uchwycić właściwy, ulotny mo-

ment i wykonać to jedno, niepowtarzalne ujęcie. Jednak szczęściu można i trzeba pomóc. Z każdą chwilą spędzoną w lesie nabywamy kolejnego doświadczenia, czegoś nowego się uczymy i nawet jeśli tego wymarzonego zdjęcia nie uda się zrobić, to jednak to, co przeżyliśmy, jest na zawsze nasze. Wybrałem się kiedyś w Góry Izerskie, aby sfotografować cietrzewie. Dwie noce w szałasie, przymrozek, dookoła pełno śniegu. Przywiozłem kilka kiepskich, do niczego nie nadających się zdjęć, ale pierwszy raz w życiu usłyszałem tokowanie tych ptaków.





„Czterdziestkidwójki” lornetki uniwersalne

Tekst: Marcin Ogórek
Zdjęcia: Swarovski Optik

Wśród myśliwych wciąż pokutuje przekonanie, że im średnica obiektywu większa, tym przyrząd optyczny, a zwłaszcza lornetka, jest lepszy, jaśniejszy. Jest to jednak tylko w części słuszne przekonanie, gdyż krytyczne znaczenie dla jasności optyki ma przecież jakość szkła, powłok i precyzja wykonania. Oznacza to, że dobra optyka nawet z mniejszym obiektywem może być „jaśniejsza” od taniego olbrzyma. Warte szczególnej uwagi są lornetki z obiektywami o średnicy 42 mm, które z powodzeniem pełnić mogą funkcję uniwersalnego, myśliwskiego przyrządu optycznego. Wyjaśnienie takiego stwierdzenia wymaga przybliżenia terminu średnicy źrenicy wyjściowej.

Źrenica wyjściowa to jasna plamka, którą widać, spoglądając w okulary lornetki, ale nie przykładając oczu do muszli ocznych. Przez ten „otwór” światło opuszcza przyrząd optyczny i wpada do naszego oka. Czyli im większa średnica źrenicy wyjściowej (którą wyliczamy, dzieląc średnicę obiektywu przez powiększenie), tym jaśniejszy obraz w lornetce. Jeśli zatem spełnione są wszystkie kryteria jakościowe, jest to najważniejszy parametr, jakim, w korelacji z powiększeniem, powinniśmy się kierować przy doborze lornetki. Oczywiście nie zapominając przy tym, że za okularem znajdują się nasze oczy, w których otwór źreniczny decyduje o ilości światła, jaka dotrze do dna oka. Otóż jeśli chcemy, aby obraz w lornetce był jak najbardziej jasny, średnica źrenicy wyjściowej lornetki powinna być równa lub większa od maksymalnej średnicy otworu źrenicznego naszego oka. A ta ostatnia jest wartością zmienną, uwarunkowaną indywidualnie, jednak wraz z wiekiem zdolność oka do rozszerzania otworu źrenicznego maleje. Statystycznie przyjmuje się, że u osoby młodej (20 lat) otwór źreniczny może rozszerzyć się maksymalnie do średnicy ok. 8 mm, u czterdziestolatka będzie to już 6 mm, by w wieku 60 lat osiągnąć

wartość 4 mm. Wniosek z tego bardzo prosty – już osoba w wieku 40 lat nie będzie w stanie wykorzystać jasności, jaką oferuje typowa nocna lornetka o parametrach 8 × 56, której średnica źrenicy wyjściowej to 7 mm. Nie ma zatem najmniejszego sensu taszczyć na szyi tak dużej i ciężkiej lornetki. A jaka jest alternatywa? Oczywiście lornetki ze średnicą obiektywu 42 mm. Przy parametrach 7 × 42 uzyskujemy średnicę źrenicy wyjściowej 6 mm, czyli taką, jaką maksymalnie może wykorzystać oko statystycznego czterdziestolatka. Również powiększenie 8 × (lub 8,5 ×) zapewnia wystarczającą ilość światła w przedziale wieku 40–50 lat (średnica źrenicy wyjściowej 5,25/4,9 mm). Jednak krotność 10 × to już zbyt dużo, jak dla lornetki uniwersalnej – średnica źrenicy wyjściowej



4 mm co prawda teoretycznie wystarcza dla osób w wieku powyżej sześciu lat, jednak należy pamiętać o tym, że im większe powiększenie, tym mniejszy komfort obserwacji, gdyż silniej przenoszone są drgania dłoni. Lornetka 10 × 42 to zdecydowanie sprzęt do dziennych polowań, zwłaszcza gdy obserwację prowadzimy z większej odległości, a obiekt nie jest zbyt duży (góry oraz np. polowania na rogacze). Jeśli jednak ktoś poszukuje typowej dziennej lornetki do podchodu, powinien zastanowić się poważnie nad jeszcze mniejszymi średnicami obiektywu (32/30 mm).

Oczywiście należy pamiętać, że – jak wspominałem wyżej – są to wartości statystyczne, a więc różne w przypadku różnych osób. Należy więc przed doбором lornetki albo zmierzyć sobie średnicę źrenicy wyjściowej, co jest w stanie zrobić lepszy optyk (uwaga, proces rozszerzania się źrenicy w ciemności do maksymalnej średnicy może zająć nawet 30–40 min), lub po prostu porównać w warunkach ograniczonej widoczności dwie lornetki, oczywiście podobnej klasy, z obiektywem 42 i większym.

Jeśli się okaże, że nie widzimy różnicy w jasności obrazu lub jest ona niewielka, warto rozważyć zakup lornetki z obiektywem 42 mm. Zyskamy wtedy uniwersalny, myśliwski przyrząd optyczny, który sprawdzi się podczas nocnej zasiadki na dziką i jednocześnie nie uprzykrzy podchodu rogacza. Okazuje się zatem, że nie zawsze słuszna jest zasada, iż co ma być dobre w kilku zastosowaniach, w żadnym z nich tak naprawdę się do końca nie sprawdzi.





Zdjęcie: Krzysztof Bandarek

Nowa Toyota HILUX Nowe szaty króla



TOYOTA

ALWAYS A
BETTER WAY



TOYOTA CENTRUM WROCŁAW

ul. Legnicka 164-168

54-206 Wrocław

tel. 71 359 85 90

e-mail: salon@toyota-centrum.pl

www.toyota.pl

TOYOTA

Centrum Wrocław

Róg Legnickiej i Na Ostatnim Groszu

Toyota Hilux - zużycie paliwa i emisja CO₂ w zależności od wariantu i wersji auta od 7,3 do 8,6 l/100 km i od 194 do 227 g/km (cykl średni). Informacje o działaniach dotyczących odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji: www.toyota.pl. Podane zużycie paliwa i emisja CO₂ zostały zmierzone zgodnie z wymaganiami określonymi w Rozporządzeniu UE 715/2007 z późn. zm. i aktami wykonawczymi, dla różnych wersji wyposażenia na rynek europejski.

Zużycie paliwa i emisja CO₂ w konkretnym pojeździe w warunkach drogowych może różnić się od podanych wyników pomiarów.





Na zużycie paliwa i emisję CO₂ wpływa sposób prowadzenia pojazdu oraz inne czynniki (takie jak warunki drogowe, natężenie ruchu, stan pojazdu, ciśnienie w oponach, zainstalowane wyposażenie, obciążenie, liczba pasażerów itp.). Szczegóły u Autoryzowanych Dealerów Toyoty.

REWOLUCJA

w walce z bólem reumatycznym!



JEDYNY TAKI LEK W POLSCE¹

-  **Rozpuszcza się na języku**
-  **Łagodny dla żołądka²**
-  **Zwalcza ból na 24 godziny³**
-  **Nie zawiera cukru**



MEL. ROZPUSZCZA BÓL!

¹ Dotyczy produktów z meloxicamem w postaci tabletki ulegającej rozpadowi w jamie ustnej dostępnych bez recepty zgodnie z bazą IMS Health Report OTFMR0116 dla kategorii 02E2C MUSC.PAIN.REL.SYS.CAP/TAB

² M. Dziewulski, Zastosowanie meloxicamum w leczeniu reumatoidalnego zapalenia stawów, Medycyna Rodzinna 3/2004, s. 109-112.

³ M. DeTacca, R. Colucci, M. Fomai and C. Blandizi, Efficacy and Tolerability of Meloxicam, a COX-2 Preferential Nonsteroidal Anti-Inflammatory Drug

MEL, 7,5 mg, tabletki ulegające rozpadowi w jamie ustnej. Skład: 1 tabletkę zawiera 7,5 mg meloksycamu (Meloxicamum). Postać farmaceutyczna: tabletkę ulegającą rozpadowi w jamie ustnej. Wskazania do stosowania: Lek przeciwzapalny i przeciwbólowy stosowany w bólach kostno-stawowych i mięśniowych w przebiegu chorób reumatoidalnych i zwyrodnieniowych stawów. Stosowany w krótkotrwałym leczeniu zaostrzeń objawów chorób reumatoidalnych, takich jak: reumatoidalne zapalenie stawów, młodzieńcze reumatoidalne zapalenie stawów oraz zeszywniające zapalenie stawów kręgosłupa. Przeciwwskazania: Stosowanie produktu leczniczego jest przeciwwskazane w następujących przypadkach: nadwrażliwości na substancję czynną lub na którąkolwiek substancję pomocniczą lub na substancję o podobnym działaniu np. niesteroidowe leki przeciwzapalne (NLPZ), kwas acetylosalicylowy; meloksycamu nie należy stosować u pacjentów z objawami astmy, polipami nosa, obrzękiem naczynioruchowym i pokrzywką, stwierdzanymi w następstwie podawania kwasu acetylosalicylowego lub innych leków z grupy NLPZ; w trzecim trymestrze ciąży i w okresie karmienia piersią; u dzieci i młodzieży poniżej 15 lat; krwawienia z przewodu pokarmowego lub perforacji przewodu pokarmowego w wywiadzie, powiązanych przyczynowo z uprzednim leczeniem NLPZ; czynnej lub nawracającej choroby wrzodowej żołądka i (lub) dwunastnicy i krwawienia w wywiadzie (dwa lub więcej oddzielnych epizodów potwierdzonego powstania owróżnień lub krwawienia); ciężkiego zaburzenia czynności wątroby; ciężkiej niewydolności nerek u pacjentów niedializowanych; krwawienia z przewodu pokarmowego, krwawienia w obrębie mózgu lub inne zaburzenia przebiegające z występowaniem krwawień w wywiadzie; ciężkiej niewydolności serca. Podmiot odpowiedzialny: PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCJI FARMACEUTYCZNEJ HASCO-LEK S.A. 51-131 Wrocław, ul. Zmigródzka 242E. Przed zastosowaniem należy zapoznać się z zatwierdzoną charakterystyką preparatu. Dalsze informacje dostępne na życzenie.

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu.